MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 44. WARSZAWA, 2 LISTOPADA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

PO DZIESIĘCIU LATACH

TWÓRCY traktatów, zawartych w r. 1919, wierzyli w ich trwałość; były one wszak oparte na prawie i sprawiedliwości: Warunkiem trwałości traktatów jednak, jak dowodzi doświadczenie dziejowe, jest ustanowienie odpowiedniej równowagi sił politycznych, gwarantowanej przez siłę państw i ich wzajemne ze sobą stosunki. Traktatom nicby zgoła nie groziło, gdyby siły państw były w r. 1930 takie same, jak w r. 1920, gdyby układ polityczny Europy i świata był taki sam dziś, jak przed dziesięciu laty. Tak jednak nie jest, w ciągu krótkiego przeciągu czasu odbyły się bardzo poważne i daleko idące zmiany. Tu właśnie leży drugie źródło niepewności i obaw wojennych[1]).

Przedewszystkiem rzuca się w oczy przemiana w pozycji światowej Europy; przestała ona zajmować stanowisko panujące. Sięgają z całą mocą po kierownictwo polityki światowej Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, emancypują się dominja angielskie, przechodzą gruntowne przeobrażenia narody azjatyckie, organizują się państwa Ameryki Południowej... Nasz kontynent utracił przodownictwo polityczne, jednym z przejawów i jedną z przyczyn tej nowej sytuacji jest kryzys gospodarczy, przez jaki przechodzą państwa europejskie. Zjawiło się zagadnienie nowe — obrony interesów gospodarczych narodów starej Europy, oraz obrony kultury i cywilizacji, która na naszym kontynencie powstała. O istnieniu tego zagadnienia nie wiedzieli twórcy traktatów z r. 1919.

Po zaznaczeniu tylko faktu powyższego, który zasługuje na potraktowanie obszerniejsze w przyszłości, przejdziemy do poszczególnych państw europejskich, zaczynając od państw zwycięskich. Jedne z nich są dziś potężniejsze, inne słabsze, niż były w r. 1920.

Wielkiem mocarstwem jest jeszcze W. Brytanja, lecz jej wpływ na politykę światową i europejską nie jest już dziś taki, jakim był przed dziesięcioma laty. Osłabiają Imperjum Brytyjskie kryzys gospodarczy, odśrodkowe tendencje dominjów i dążenia do niepodległości ludów, zamieszkałych w posiadłościach angielskich (Indje, Egipt). Przytem nie widać końca piętrzących się trudności. Kryzys gospodarczy, wyrażający się w wynoszącej ponad 2 miljony liczbie pozbawionych pracy, jest następstwem utraty przez Europę pierwszeństwa w życiu gospodarczem świata i z natury rzeczy dotyka najbardziej kraj najsilniej uprzemysłowiony i dostosowany w swej strukturze gospodarczej i społecznej do przedwojennego układu sił wytwórczych i geografji gospodarczej świata. Z kryzysu tego niema właściwie wyjścia, musi on doprowadzić do gruntownego przeobrażenia w życiu gospodarczem i społecznem Anglji, co nastąpi tylko poprzez bardzo ciężkie i długie przesilenie wewnętrzne. Kryzys ten oddziaływa też, wraz z postępującą demokratyzacją, na stosunki polityczne, powodując poważne trudności i zawikłania. Nic nie zapowiada, by dążenia ludów azjatyckich i afrykańskich do zupełnej niezależności dały się stłumić, przeciwnie trudności stąd wynikające będą się stale zwiększały. Nie można też lekceważyć zatargu, jaki wyniknął między rządem W. Brytanji a syjonizmem, żydzi bowiem są ważnym czynnikiem w polityce międzynarodowej. Nie wdając się w przepowiadanie przyszłości, można jednak stwierdzić fakt, dziś już

[1]) Pierwszem źródłem są wady traktatów, o czem była mowa w artykule „Traktat Wersalski", zamieszczonym w poprzednim numerze „Myśli Narodowej".

widoczny, że Anglja, zajęta swemi kłopotami wewnętrznemi i imperjalnemi, wycofuje się coraz bardziej z polityki na kontynencie europejskim i jest w niej czynnikiem coraz mniej dającym się odczuwać.

Francja posiada wciąż jeszcze najsilniejszą armję w Europie, najmniej odczuwa kryzys gospodarczy, posiada wielkie zasoby złota w skarbcu państwowym i kapitały w rękach prywatnych. Lecz nie należy zapominać o wielkiem zniszczeniu jej północnych departamentów w czasie wojny i o wielkich stratach w materjale ludzkim. Powszechnie wiadomo, że w r. 1935 zasób młodzieży zdolnej do służby wojskowej będzie najmniejszy. Następstwem tego jest rozpowszechniające się pragnienie utrzymania pokoju za wszelką cenę i moralne rozbrojenie Francji, na którego tle mogła się była rozwijać polityka porozumienia francusko-niemieckiego, skazana na niepowodzenie, lecz mimo to znajdująca szerokie oparcie w opinji.

Włochy przeszły od r. 1923 głęboką ewolucję wewnętrzną. I niezależnie od tego, jak się kto zapatruje na wartość porządku faszystowskiego, każdy musi przyznać, że są one dziś i materjalnie i moralnie o wiele silniejsze, niż były w roku 1920. Państwo włoskie uporządkowało swe finanse, walczy wytrwale z kryzysem gospodarczym, posiada coraz lepszą armję i flotę i — co najważniejsze — potrafi kształcić swe społeczeństwo i wyrabiać w niem dumę narodową i wolę zwycięstwa we współzawodnictwie międzynarodowem. Włochy są na początku drogi, prowadzącej do wzrostu ich sił materjalnych i moralnych, nic nie pozwala przypuszczać, że z tej drogi zejdą, lub się na niej zatrzymają.

Wielką niewiadomą stanowi Rosja. Najtrudniej snuć w stosunku do niej jakieś przewidywania. Postępując z wielką ostrożnością trzeba jednak stwierdzić, że pod względem politycznym rządy panującej tam mniejszości ugruntowały się i utrwaliły, pod względem gospodarczym nie nastąpiło załamanie się, a na podstawie systemu, bardzo zbliżonego do niewolnictwa, zaczyna się zaznaczać poprawa, a w niektórych gałęziach rozwój gospodarczy, że wreszcie pod względem wojskowym istnieje wielki postęp, który wskazuje na to, że armję sowiecką trzeba bardzo poważnie brać w rachubę, myśląc o przyszłych konfliktach europejskich.

Mimo wszystkie trudności i przeszkody gruntują się i wzmacniają: Polska — i inne „nowe" lub „odnowione państwa Europy środkowo-wschodniej".

Jeśli chodzi o państwa zwyciężone, to największe przemiany zostały dokonane w Niemczech. W ciągu lat dziesięciu zrobiły Niemcy wielkie postępy materjalne. Obok tego odzyskały pozycję polityczną w Europie i odbudowały swą armję. Polityka Stresemanna wprowadziła Niemcy do Ligi Narodów, usunęła wojska dawnych sprzymierzeńców z Nadrenji, zwolniła faktycznie Niemcy od ograniczeń co do zbrojeń i zmniejszyła ciążące na nich odszkodowania. Wzmocnione materjalnie, politycznie i wojskowo domagają się dziś Niemcy integralnej rewizji Traktatu Wersalskiego. To ich dążenie stanowi bezpośrednie i bliskie niebezpieczeństwo dla pokoju światowego, a to dla tej prostej przyczyny, że jest bardzo silnie ugruntowane w duszy narodu niemieckiego, nie da się urzeczywistnić na drodze pokojowej. Niebezpieczeństwo to jest tem większe, że niema pewności, czy będące dziś u steru żywioły i siły, usposobione wyraźnie nacjonalistycznie, lecz doświadczone i umiarkowane, zdołają się utrzymać na swem stanowisku. Przyjście zaś do władzy skrajnej rewolucyjnej prawicy, opartej na nieopanowanym gruncie instynktów i poruszeń masowych, może doprowadzić do wydarzeń, których nikt się nie spodziewa i których nikt nie chce...

Zaznaczyliśmy powyżej daleko idące przemiany w siłach i napięciu woli szeregu narodów europejskich. Nie mniej ważne są przemiany w ich wzajemnych stosunkach. Sojusze i porozumienia, jakie się utworzyły podczas wojny, nie istnieją. Nie można położyć dość silnego nacisku na takie fakty, jak ten, że nie istnieje już porozumienie angielsko-francuskie, że współdziałanie między Francją a Włochami zamieniło się w wyraźny konflikt, że jest budowane z wielką wytrwałością porozumienie francusko-niemieckie, że istnieje współdziałanie niemiecko-rosyjskie, że zaczyna się wymiana uprzejmości włosko-niemieckich, że między sprzymierzeńcami z czasu wojny, Włochami i Jugosławją panuje napięcie tak silne, iż można już dziś mówić o niebezpieczeństwie poważnego konfliktu na Adrjatyku, tak jak się mówi o podobnem niebezpieczeństwie na morzu Bałtyckiem.

Wystarczy chyba to, cośmy powyżej powiedzieli, by stwierdzić, że inny już dziś zachodzi stosunek sił między tymi, którzy dążą do zburzenia układu politycznego, ustalonego przez traktaty z r. 1919, a tymi, którzy chcą utrzymania tego układu w całej mocy. Niemcy niewątpliwie wzmocniły się wewnętrznie i pozbyły całego szeregu ograniczeń, nałożonych na nich przez Traktat Wersalski. Naprzeciw nich zaś stoją dawne państwa zwycięskie, skłócone między sobą i niejednolite w swoich dążeniach politycznych. Wzmocnione i coraz pewniejsze siebie Niemcy robią wielkie wysiłki celem zorganizowania koło siebie i pod swem przewodnictwem wszystkiego, co pragnie powrotu do stanu przedwojennego. Dawne państwa zwycięskie zaś, pozbywszy się ostatniej realnej gwarancji wykonania traktatów, jaką była okupacja Nadrenji, skupiły cały swój wysiłek w kierunku uzyskania gwarancyj papierowych, a całą swoją nadzieję złożyły w złudzie „wiecznego" pokoju. To naruszenie równowagi sił, jaka była tuż po zawarciu traktatów, stanowi podłoże, na którem rosną i rozwijają się obawy i możliwości wojenne.

STANISŁAW KOZICKI

OKULTYZM I JEGO DZIEJE

(Z POWOJENNEJ LITERATURY MASOŃSKIEJ)

Kwestji okultyzmu w masonerji poświęcone zostało w czasach ostatnich wiele zadrukowanego papieru. Niezawsze ze skutkiem: jak już wspominaliśmy w artykule innym [1]), dyrektywy Zakonu uniemożliwiają zazwyczaj logiczną a rozsądną o tych materjach dyskusję. Wyjątek stanowią publikacje, przeznaczone dla „braci-mistrzów". Taką jest np. bayreuckie „*Freimaurer-Museum*", wydawana pięknie nakładem „*Engbundu*" (głęboko wtajemniczonych) kolekcja historyczna [2]). Leży przed nami kolekcji tej tom najświeższy, opublikowany w roku bieżącym, zawierający zaś nową, szóstą z kolei w przeciągu lat również sześciu, monografję „Różokrzyżowców" [3]).

Autor tej monografji, p. Arnold Marx, poświęcił aż trzy rozdziały interesującej swojej pracy doktrynie ezoterycznej masonerji. Doktrynę tę wywodzi on bez reszty z „Kabały żydowskiej". Tą to „Kabałą żydowską" zajął się znów przed siedmiu laty w olbrzymiem dziele znany badacz rzeczy masońskich we Francji, Paweł Vulliaud [4]). Vulliaud jest niewątpliwym uczonym-erudytą, zna on historję narodu żydowskiego, zna badania porównawcze religij, umie wyłuskać i uwydatnić zadziwiające analogje pomiędzy doktrynami kabalistycznemi z jednej, zasadniczemi pierwiastkami innych religij Wschodu z drugiej, a niejednym rysem metafizyki współczesnej z trzeciej strony. O ogromnym i nieprzeczuwanym dotąd, przynajmniej w najszerszych sferach naukowych, wpływie tejże „Kabały" na „Oświecenie" i Romantyzm otworzyło dalekie horyzonty, omawiane przez nas gdzieindziej, dzieło Viatte'a. [5]) O wpływie wreszcie kabalistyki żydowskiej na Renesans — poza pewnemi pracami niemieckiemi i francuskiemi, których specyfikowanie zaprowadziłoby nas tutaj nazbyt daleko [6]) — istnieje w literaturze polskiej znakomita rozprawa dr. Bohdana Kieszkowskiego, ucznia seminarjum prof. Tatarkiewicza [7]).

Wspominaliśmy wyżej, nie bez uznania, o wielkiem dziele Vulliaud'a. Plamą jest na niem rozdział jego dwudziesty i pierwszy, w którym autor, na rozkaz zapewne z góry, czy raczej z tyłu, sili się beznadziejnie na wykazanie lepiej już zorjentowanemu czytelnikowi, że „Kabała" nic nie ma wspólnego z masonerją. Kłam twierdzeniu Vulliaud'a zadaje chociażby fakt ustalony ścisłej łączności pomiędzy doktryną ezoteryczną masonerji a opierającemi się na kabalistyce umiejętnościami tajnemi czasów dawnych: alchemją i astrologją [8]).

Co do alchemji — to, w polskiej literaturze powojennej, posiadamy dotąd jeden tylko podręczniczek, cenny, bo naukowy, ale zupełnie fragmentyczny, rzecz Tadeusza Estreichera [9]), późne uzupełnienie analogicznych u nas rozpraw takiego Lacha-Szyrmy czy Brinckena. To też, gwoli studjowania praktyk alchemicznych w Polsce, posługiwać się musimy bogatą w tym względzie literaturą zagraniczną, gdzie—obok wcześniejszych kompendjów Berthelota, Figuiera, Koppa czy Lippmanna — korzystać możemy z najnowszej monografji masona angielskiego Waite'a, chaotycznej coprawda i nieco mglistej, ale uwzględniającej, w szczupłym chociażby zakresie, i sprawy polskie [10]).

Astrologję opracowywał u nas niegdyś uczony Michał Wiszniewski [11]), odtąd daliśmy się na tem polu zdystansować obcym, a szkoda, bo studjując okultyzm, na każdym niemal kroku spotykamy się ze znaczeniem Krakowa, jego „*ghetta*" i innych „*ghett*" polskich dla wszelakich praktyk magicznych: średniowiecznych, renesansowych, a nawet późno-masońskich [12]). Co do astrologji w szczególności, drogowskazem nam być tu może — prócz wcześniejszych dzieł i rozpraw Schottendorfa, Warburga i Friedricha — przedewszystkiem obszerny podręcznik pióra dwóch nieżyjących już dzisiaj uczonych niemieckich, Bolla i Bezolda [13]).

Pozostawałby do omówienia długi szereg bio— i monografij, poświęconych najznakomitszym okultystom, jacy występowali na widownię europejską w ciągu dziejów. Rozpoczyna ten szereg—odnośnie do stulecia XVI-go — tajemnicza postać lekarza-cudotwórcy, kabalisty Paracelsa, który doczekał się — w okresie powojennym — aż dwóch życiorysów [14]), odnośnie do stulecia XVII-go — interesująca tak Mickiewicza postać szewca — kabalisty ze Zgorzelca, Jakóba Böhmego, któremu poświęcono w tym czasie dwie też nowe biografje [15]); dalej— ważnego i dla historji politycznej polskiej, pedagoga z Leszna, Jana-Amosa Komenskiego, który wszakże w najnowszym życiorysie Anny Heyberger [16]) nie został należycie oświetlony jako okultysta; filozofa Leibniza nareszcie [17]), który rów-

[1]) „Gazeta Warszawska" z 8-go października.

[2]) „*Archiv für freimaurerische Ritualkunde und Geschichtsforschung*".

[3]) „*Die Gold-und Rosenkreuzer. Ein Mysterienbund des ausgehenden 18. Jahrhunderts in Deutschland*".

[4]) „*La Kabbale juive. Histoire et doctrine*", Paryż 1923, 2 tomy.

[5]) „*Les sources occultes du Romantisme, Illuminisme et Théosophie 1740 — 1820*". Paryż 1929.

[6]) Jak z najnowszych — dzieła Roger-Charbonnela, Burdacha, Joëla i i.

[7]) „Giovanni Pico della Mirandola. Charakter i geneza jego filozofji", Warszawa 1930.

[8]) Należałoby wspomnieć w tym związku również i o wróżbiarstwie, którego różnorakie odmiany tak ściśle wiążą się z okultyzmem kabalistycznym czy masońskim, o nekromancji (spirytyzmie), geo-i krystallomancji i t.p. Stan. niestety bibljografji hermetycznej, niezmiernie wiele pozostawiający do życzenia, nie dozwala mi narazie być wyczerpującym. Por. Danzel: „*Magie und Geheimwissenschaft*". Stuttgard 1924.

[9]) „Z dziejów alchemji", Kraków 1927.

[10]) „*The secret tradition in alchemy*", Londyn 1926. Ubolewać należy, że w literaturze historycznej polskiej nie pojawiła się dotąd, o ile mi przynajmniej wiadomo, żadna nowsza monografja głośnego w Europie XVII-wiecznej alchemika Sędziwoja, do której obficie trafiające się źródła podaje zestawiona przez Karola i Stanisława Estreicherów „Bibljografia".

[11]) „Historja literatury polskiej", Kraków 1842, IV, 122 nn.

[12]) O tajnikach „*ghett*" podolskich por. Buber „*Die chassidischen Bücher*". Berlin 1928.

[13]) „*Sternglaube und Sterndeutung*", Lipsk—Berlin 1926.

[14]) Spunda: „*Paracelsus*", Wiedeń—Lipsk 1925 i Gundolf: „*Paracelsus*", b. m. i r.

[15]) Hankamer: „*Jakob Böhme*", b. m. i r., i Peuckert: „*Jakob Böhme's Leben*", Jena 1924.

[16]) „*Jean Amos Comenius*", Paryż 1929.

[17]) por. Brunswig: „*Leibniz*", Wiedeń — Lipsk 1925, ale przedewszystkiem nieprzedawnioną pracę Foucher de Careil'a: „*Leibniz, la philosophie juive et la Cabale*", Paryż 1861.

nież oczekuje na analizę w tym kierunku, w guście zapowiadanej u nas pracy Chmaja o okultyźmie Kartezjusza [18]).

Odnośnie do wieku XVIII-go — na pierwszym planie rozpraw stoi „arcyczarownik" Cagliostro, opracowywany aż w czterech różnych wydawnictwach [19]); obok niego jawi nam się mag wszędobylski (żyd — „sefardym" portugalski?), „hrabia de Saint-Germain" [20]); zaraz za nimi idzie dobrze nam skądinąd znany minister-kabalista Brühl, obdarowany, ni stąd ni zowąd, dzięki semickiej firmie wydawniczej „*Amalthea*", luksusową monografją-panegirykiem [21]), w której nie uwzględniona została wszelako bogata jego okultystyczna spuścizna drezdeńska; towarzyszą mu — z okultystów współczesnych — jeden z twórców masonerji angielskiej. John Toland [22]); z późniejszych — margrabia Chefdebien d'Armisson [23]), znaczny mason francuski w okresie inkubacyjnym Rewolucji, podobnie jak jego nawrócony później towarzysz lożowy, sławny i znakomity hrabia Józef de Maistre [24]).

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI [25])

[18]) Z pomniejszych „świateł" masońskich XVI i XVII stulecia wspomnieć jeszcze wypada o Janie Dee, astrologu Elżbiety angielskiej, czynnym również na dworze Batorego w zakresie ewokacyj kabalistycznych (por. Charlotte Fell-Smith: „*Life of dr. John Dee*", Londyn, b. r.).

[19]) Z przedwojennych: d'Alméras: „*Cagliostro. La franc-maçonnerie et l'occultisme au XVIII-e siècle*", Paryż 1904; z powojennych: Guenther: „*Der Erzzauberer Cagliostro*", Monachjum 1919; Haven: „*Cagliostro. Etude historique et critique sur la haute magie*", Paryż b. r.; Trowbridge: „*Cagliostro*", Londyn 1926.

[20]) Cooper-Oakley: „*The Comte de St. Germain. The secret of kings*", Londyn 1927 i Volz-Oppeln-Bronikowski: „*Der Graf von Saint-Germain*", Drezno 1923.

[21]) Aladar von Boroviczeny: „*Graf von Brühl. Der Medici, Richelieu und Rotschild (!) seiner Zeit*", Zurych—Lipsk—Wiedeń 1930. O poprzedniku Brühla na premjerostwie saskopolskiem, Erneście-Krzysztofie Manteufflu, także znamienitym masonie, posiadamy monografję Thei von Seydewitz, Drezno 1926.

[22]) Lantoine: „*Un précurseur de la Franc-Maçonnerie, John Toland 1670 — 1722*", Paryż 1927.

[23]) Fabre: „*Un initié des sociétés secrètes supérieures: Franciscus eques a capite galeato 1753 — 1814*", Paryż 1913.

[24]) Vulliaud: „*Joseph de Maistre franc-maçon*", Paryż 1926 oraz Dermenghem: „*Joseph de Maistre. La franc-maçonnerie...*", Paryż 1925.

[25]) W cztery dni po opublikowaniu pierwszego artykułu z niniejszej serji w „Gazecie Warszawskiej" zamieściły żydowskie „Wiadomości Literackie" krótką notatkę. Sposobem talmudycznym, głęboko wuczonym w żyły i sploty mózgowe redaktorów „Wiadomości", pisali oni tam pozornie o czem innem, a w rzeczywistości coś całkiem innego mieli na myśli. Studja nad masonerją nazwały „Wiadomości" — „efemerycznym i zabawnym procederem tropienia masonów w Polsce". Ten lekkomyślno-światowo-kabalistyczny styl zdradza, zdaniem naszem, także i ukrytego inspiratora danej notatki.

Z DZIEJÓW PAMIĘTNEGO „ZETU"

(Dokończenie)

ORGANIZACJA Z-etu posiadała członków w trzech kondygnacjach, z tem, że tylko najwyższa — t.zw. „Bracia" wiedzieli o 2-ch niższych: średniej „Towarzyszach" i najniższej „Kolegach", ale ci znów o nich („Braciach") nie wiedzieli: „Koledzy„ nie wiedzieli o „Towarzyszach" i „Braciach", „Towarzysze" zaś o „Braciach". Miało to pozory masońskie, tembardziej, że były ustanowione pewne znaki, po których się członkowie tych 3-ch stopni poznawali. Statut zaś organizacyjny był w stosunku do tej zasady względnej znajomości sprawy także ułożony: osobny dla „Kolegów", osobny dla „Towarzyszy", osobny dla „Braci".

Oczywiście zasady ideowe były wszędzie jednakowo przedstawione, ale już metody pracy były odmienne ułożone dla każdego z tych stopni: Koledzy widzieli tylko, że należą do organizacji z władzą tajną, z którą ich pośrednikiem jest w każdej grupie t. zw. „starszy kolega". Ten „starszy kolega" należał do grupy „Towarzyskiej", z której został przez nią wyznaczony do kierowania daną grupą „Kolegów", który też przed swą grupą „Towarzyszy" składał sprawozdanie z pracy swojej grupy „Kolegów", którą prowadził. Tak samo było w grupach „Towarzyszów": prowadzili je osobno wyznaczeni przez wyższą Władzę tajną — „Starsi Towarzysze", którzy musieli należyć do stopnia „Braci" i w grupie „Braci" sładali sprawozdania z pracy swej grupy „Towarzyszów". Jeżeli te grupy „Kolegów" lub „Towarzyszów" były niezbyt liczne, to zbierały się razem, to jest w grupie „Kolegów" — wszyscy „Koledzy" wraz z właściwymi „Towarzyszami" i nawet „Braćmi", którzy dla „Kolegów" byli tylko „Kolegami", a w grupie „Towarzyszów" — „Towarzysze" i „Bracia", nieznani jako tacy, „Towarzyszami". Jeżeli zaś było zbyt wielu członków, tak, że wówczas dyskusja i sprawozdania byłyby zbyt trudne technicznie, to grupy rozpadały się na mniejsze według pracy, jaką podejmowały: a więc włościańskiej, robotniczej, inteligencji i t. d. Stwarzało to pewne niedogodności: Bracia i Towarzysze oprócz zebrań swoich własnych grup braterskich lub towarzyskich, musieli mieć zebrania z kolegami koleżeńskie i to pochłaniało masę czasu, ale dawało za to pożądany wpływ i oddziaływanie moralne i intelektualne na poszczególne grupy i przez to ochroniło grupy od rozbieżności oraz pozwalało lepiej poznawać członków w ich pracy, a stąd i ich kwalifikacje do przejścia do grupy wyższej.

Poszczególni członkowie Z-etu dostawali polecenia od swojego „Starszego" (czy to „Kolegę", czy „Towarzysza"), do jakiej pracy mają należeć, i wówczas tworzyli dla danej pracy, z innymi do niej przeznaczonymi, odpowiednią sekcję pracy. W takiej specjalizacji pracy, wyrabiali się powoli coraz lepiej i przez to później w życiu społecznem mieli pewne większe wyrobienie zawodowe w danej pracy społecznej, czy to w oświatowej wiejskiej, czy miejskiej, czy w pracy zawodowej robotniczej itd. To było b. ważne dla późniejszej pracy społecznej i narodowej, na prowincji zwłaszcza, po skończeniu lub wyjściu ze Szkoły Akademickiej. Ta potężna sprawna siła, jaka już w dziewięć lat potem ujawniła się w działaniach tajnej organizacji narodowej, czy to w Królestwie, czy w zaborze pruskim a nawet i w Galicji (tu przy jawności pracy społecznej i narodowej najmniej to było potrzebne), która obok stworzenia ogromnej odporności wobec naszych wrogów, obok zorganizowania systematycznej, sprawnej pracy społecznej w różnych kierunkach, dała i ogromną siłę polityczną dla tej tajnej organizacji narodowej (wybory do Dumy, Sejmu pruskiego), była wynikiem

poprostu tego przeszkolenia w Z-ecie wielu pracowników, o którem mówię, przygotowała i potem ten potężny obóz narodowy, jaki przez 40 lat aż do dnia dzisiejszego w Polsce prowadził i prowadzi pracę narodową. W Z-ecie tkwiły jego korzenie.

Taki był ogólny zarys organizacyjny Z-etu, jaki ułożyliśmy na Zjeździe Krakowskim w styczniu 1887, później poprawiony i uzupełniony nieco, ale w głównej swej osnowie pozostał prawie niezmieniony.

Pamiętam, z jaką dumą zaszywałem w rękaw ten zwitek wałeczkowy papieru, na którym na 3-ch arkusikach była spisana nasza „Ewangelja“ młodzieńcza, chcąc ją szczęśliwie przewieść przez dobrze strzeżoną granicę pruską w Katowicach i rosyjską w Sosnowcu. Udało się szczęśliwie. Przyjechawszy zabraliśmy się zaraz do roboty w mieszkaniu Harusewicza, który mieszkał w tymże domu na Złotej w oficynie. Chodziło o to, ażeby wybrać odpowiednich ludzi najpierw do „Braci“, a z nimi potem do „Towarzyszy“ i do „Kolegów“. Wtenczas bliżej zapoznałem się z Harusewiczem i wówczas nabrałem już wielkiego szacunku dla niego z powodu jego niezmiernej ścisłości i obowiązkowości, które robiły pozór wielkiej surowości, a to był gołębiej prostoty człowiek. Z wielką objektywnością i subtelnością dokonywał oceny swoich kolegów bliższych i przyjaciół z koła katologowego dla przyjęcia do „Towarzyszy“, a tembardziej „Braci“, a potem przy wyborze jawnego członka Centralizacji i Warszawskiego Komitetu.

Praca nad organizacją tych grup i wyznaczaniem im roboty, zajęła nam kilka tygodni, ale po miesiącu organizacja warszawska była gotowa — wciągnięto około 100 członków ogółem w tych 3 stopniach. Zapał ogarnął wszystkich przyjętych — czuli oni, że coś nowego zaczyna się w ich życiu i w życiu narodowem. Wobec Centralnego Koła złożyliśmy bardzo ogólne sprawozdanie o odbyciu Zjazdu, o wymienionych tam poglądach, ale nie wpomnieliśmy o utworzeniu organizacji Z-etu, gdyż nie chcieliśmy Centr. Koła niczem wiązać z Z-etem, a uważaliśmy je tylko za cenny surowy materjał, z którego mieliśmy brać lepszych do Z-etu, ażeby kierować organizacją Centralnego Koła. I to się zupełnie udało. Wrótce większość delegatów do Centr. Koła była w Z-ecie.

W organizacji Warszawskiej pozostawałem do listopada 1887, gdyż zostałem nagle wydalony z Uniwersytetu Warszawskiego bez prawa wstąpienia do innych, rozkazem ówczesnego Ministra Oświaty Deljanowa za „polityczną nieprawomyślność“ (politiczeskuju niebłagonadiożnost'). Z początku nie mogłem zrozumieć, o co chodziło, bo mnie nie aresztowano, później przez brata swojego w Petersburgu dowiedziałem się, że zostałem zadenuncjowany przez policję krakowską, która doniosła, że przywiozłem w lecie 1887 do Krakowa adres młodzieży polskiej do T. T. Jeża w 50-lecie ogłoszenia odezwy Towarzystwa Demokratycznego w Paryżu (emigracyjnego), jako do ostatniego wraz z Janowskim żyjącego członka Centralizacji owego, już nie istniejącego, Towarzystwa. Istotnie tak było i byłem nawet autorem tego adresu, który przewiozłem w lecie 1887 r. do Krakowa, ażeby po podpisaniu przez krakowską młodzież wysłać do Jeża. Tymczasem mało zakonspirowana młodzież krakowska nie umiała utrzymać tego adresu w tajemnicy — zdaje się przez swoich szpiegów wśród młodzieży w Czytelni Akademickiej policja się o tem dowiedziała, adres skonfiskowała i odesłała do Namiestnictwa do Lwowa (zapewne gdzieś tam w aktacц leży), relację zaś o mnie, jako o prawdopodobnym propagatorze adresu w Warszawie, do Petersburga doniosła. W notatce bowiem w Departamencie policji w Petersburgu mieścił się *passus*, że adres ten był *„prestupnago" sodierżanja*. Nie mogąc być przyjętym do żadnego uniwersytetu w Rosji — chciałem wyjechać zagranicę, ale mi paszportu nie dano. Musiałem więc wejść w życie praktyczne (stąd z prawa przerzuciłem się na rolnictwo), pójść na praktykę rolniczą, stąd i wystąpić formalnie z Z-etu, a wstąpić do utworzonej wówczaj już organizacji narodowej tajnej.

Dopiero w 1889 r. w jesieni uzyskałem paszport zagraniczny i wstąpiłem do Akademji Dublańskiej, gdzie wstąpiłem napowrót do Z-etu, a gdy po roku wydalony z Akademji z powodów politycznych na życzenie namiestnictwa lwowskiego, przeniosłem się wraz z 5 również wydalonymi ze mną kolegami, do Uniwersytetu w Halle, tam założyłem grupę Z-etu. Wracając po roku 1890/91 w sierpniu 1891 r. do domu z Halli, zostałem aresztowany przez żandarmerję rosyjską na skutek znów, jak się dowiedziałem na śledztwie w Cytadeli, denuncjacji policji krakowskiej, z rozkazu Departamentu policji w Petersburgu, przesiedziałem się kilka miesięcy w X pawilonie, wypuszczony zostałem za kaucją — i tu mnie o Z-et się dopytywano.

Przez $2^1/_2$ lata oczekiwałem na wolności wyroku, który przyszedł z Petersburga w listopadzie 1893 r., gdy pracowałem, jako rolnik, w Ihnatyczach u Jelskich w Mińszczyźnie. Ostrzeżony przez Janka Popławskiego o zapadłym wyroku, który mnie podobno skazywał na 3 lata Krestów, a potem na wygnanie na 3 lata do Wiackiej guberni, uciekłem przy pomocy Janka zagranicę przez stację pograniczną Wieruszów w gub. kaliskiej, gdzie przeprowadził mnie nasz kolega z Z-etu Nepom. Godlewski, lekarz tamtejszy. Uciekłem do Krakowa, chcąc tutaj wstąpić na utworzone wówczas Studjum Rolnicze. Nie przyjęty, także z powodów politycznych, musiałem wyjechać do Lipska i tam wstąpiłem bez przeszkody na tamtejsze Studjum Rolnicze, przyjęty pod opiekę rektora i dyrektora Studjum, prof. Kirchnera, ażeby nie być wydanym policji rosyjskiej. Tu też założyłem grupę Z-etu. W Lipsku w 1896 r. doktoryzowałem się i wróciłem do Krakowa. Stąd więc byłem obznajmiony z tokiem spraw w Z-ecie aż do 1899 r. i miałem sposobność poznać bliżej wielu wybitniejszych potem Polaków. Byłem wtenczas w korespondecji, będąc w 1891 r. w Halli, ze Stanisławem Grabskim, który wówczas był redaktorem socjalistycznej „Gazety Robotniczej“, wytykając jej, że nie stoi na narodowem polskiem stanowisku, a jest organem polskim niemieckiej socjal-demokracji, co bardzo ubodło redakcję „Gazety Robotniczej“.

Niedawno b. prezydent Rzeczypospolitej Stanisław Wojciechowski, powiedział mu wprost: „Znamy się z Z-etu“. Zdaje się, widziałem go na Zjeździe jakimś w Warszawie. Widocznie należał w czasie swoich studjów szwajcarskich do Z-etu, bo tę przynależność swoją, nawet do grupy „Braci“, dobrze pamiętał. Powiedział mi bowiem w lipcu 1927 r., gdy przyjeżdżał do Krakowa obejmować odemnie Dy-

rekcję Instytutu Spółdzielczego i gdyśmy te wspomnienia o Z-ecie, siedząc na obiedzie u Hawełki, odnawiali, w obecności mojego asystenta Dr. Kłapkowskiego, „a wie pan, gdy zostałem prezydentem, mianowałem wojewodami dwóch dawnych braci: Stefana Bądzyńskiego — wojewodą białostockim, a Pękosławskiego wojewodą kieleckim“. Mówił następnie, że już potem (zdaje się, po wyjeździe ze Szwajcarji) nie należał do Z-etu i wtedy zapewne przeniósł się do P. P. S.

Ze starych obecnych socjalistów, Daszyńskiego i in. — nie pamiętam, żeby ktokolwiek należał do Z-etu; odpychała nas od nich ich międzynarodowość antynarodowa, z której dopiero po Zjeździe swoim paryskim zaczęli nieco wyłazić. Ale za to wśród N. P. R. są dawni Z etowcy, z których pomocą Liga założyła później Narodowy Związek Robotniczy. Z Piastowców nie pamiętam nikogo;— może gdzie byli — weszło ich kilku potem do Ligi, ale nie przez uprzedni pobyt w Z-ecie.

Oto garść wspomnień, naprędce spisanych.

STEFAN SURZYCKI

STOSUNKI POLSKI Z WŁOCHAMI W CIĄGU WIEKÓW

POLSKA po wsze czasy chlubiła się ze swych związków z Zachodem i jego kulturą, a w szczególności z Rzymem i Italją. I słusznie. Razem z katolicyzmem rzymskim, jego pojęciami i doktryną moralną wzięła Polska w odległem średniowieczu najsilniejszą z więzi, która wywiodła z barbarzyństwa luzem idące plemiona polskie, zespoliła je i złączyła w jeden naród.

Wszedłszy w orbitę kultury zachodniej, łacińskiej, otrzymała Polska tem samem na drogę swego tysiącletniego pochodu najskuteczniejszy wiatyk, który jej pozwolił wyodrębnić młode oblicze narodowe i państwowe i skutecznie przeciwstawić się w wiekach średnich naciskowi germanizmu i krzyżactwa, a potem w dobie stuletniej niewoli przetrzymać zwycięsko nacisk z jednej strony prawosławia i rusyfikacji, z drugiej zaś nacisk tego samego średniowiecznego *Drang nach Osten*, uosobionego w pruskiej polityce Hohenzollernów i Bismarcka.

Historja związków Polski z Zachodem, a w szczególności z Włochami, to zarazem dzieje najszlachetniejszych porywów i stałych dążeń ducha polskiego, zdobywania przez naród całej skali i całej sumy nowych pierwiastków i pojęć idealnych w piśmiennictwie, nauce i sztuce, które razem składają się na ten najpiękniejszy kwiat i zarazem największy skarb, jakim dla każdego narodu jest jego oświata, jego sposób myślenia, jego sposób bycia.

To wszystko Polska wzięła, to wszystko wziąć starała się z ogólnego skarbca kultury i cywilizacji łacińskiej, która w Rzymie i w Italji miała swój początek i główną siedzibę, i tak po wieczne czasy złączyła swój byt i swój rozwój duchowy z ideologją świata zachodniego, ściśle mówiąc romańskiego.

Ruch wymienny między Polską a Italją sięga epoki przyjęcia przez Polskę chrześcijaństwa. Wówczas już przybywają do Polski pierwsi Włosi i naodwrót do słonecznej Italji, siedziby papiestwa i wiedzy, dążą pierwsi Polacy.

Młode państwo polskie zawisłe było pod względem politycznym od cesarstwa. Organizacja i utworzenie archidjecezji gnieźnieńskiej podniosły wprawdzie znaczenie Kościoła polskiego na zewnątrz, ale w istocie nie przerwały zależności od Niemiec, która jakkolwiek w zakresie kościelnym nie istniała prawnie, to jednak istniała faktycznie, z uwagi, że Polsce brakło duchowieństwa narodowego. Temu brakowi kościelno-religijnemu i politycznemu zarazem starał się zapobiec przezorny Bolesław Chrobry, sprowadzają z Włoch pierwszych duchownych, którzy kształcili kler polski.

W r. 1001 przybyli do Polski z Włoch pierwsi trzej zakonnicy. W r. 1005 zaś powstała w Smogorzewie jedna z pierwszych szkół w Polsce, a założył ją biskup wrocławski Urban, Włoch z pochodzenia. Naodwrót, już bardzo wcześnie, bo zapewne przed rokiem 1000 jeżdżą do Włoch pierwsi Piastowicze, aby w murach tamtejszych klasztorów poświęcić się ascezie i służbie Bogu.

Odtąd na przestrzeni tysiąca lat ten ruch wymienny z ziemi włoskiej do Polski i naodwrót nie ustaje. Włosi udają się w średnich wiekach do Polski w celach kościelnych a potem handlowych i bankowych. Są to biskupi, zakonnicy, legaci papiescy i t. zw. kolektorzy świętopietrza. A z nimi równocześnie i równolegle: kupcy, górnicy, żupnicy, bankierzy, którzy denar św. Piotra przekazują bankom włoskim, — a potem, za Zygmuntów, architekci i artyści.

Polacy natomiast podróżują do Włoch w celach religijnych, kościelno-politycznych, po naukę i po wiedzę i stają się w następstwie jej szerzycielami w ojczyźnie.

W niniejszym zarysie zwrócimy uwagę głównie na pęd polski ku Italji, a o Włochach w Polsce wspominać będziemy tylko ubocznie. Tu zaraz jednak należy uprzytomnieć sobie fakt ogólniejszej natury, t. j. że w rozumieniu książąt i królów polskich element włoski był przyciągany i pożądany jako przeciwwaga na rozpanoszenie się w dziedzinie kościelnej i po miastach niemczyzny, zawsze jednako brutalnej, zarozumiałej i opryskliwej. Włosi zaś, mimo zapalczywości charakteru i południowego temperamentu, którego przejawami bywały spory i bójki Włochów między sobą a często i z mieszczanami np. w Krakowie, mimo że godziło w nich ostrze satyry, bo przynosili ze sobą nowinki wszelkiego rodzaju, stali się żywiołem pożądanym, czynnym i popularnym. Chętnie też osiadali w Polsce, a poznawszy ją bliżej cenili mimo narzekań na pochmurne niebo i ostry klimat i łączyli się z nią duchowo i przez związki krwi. Wzrośli też do znaczenia odczynnika niemczyzny, zwłaszcza pod względem kulturalnym.

Niemcy ani wtedy ani później, częścią wskutek swej umysłowości, wrodzonej pychy i wychowania, które im każe traktować obcych a zwłaszcza sąsiadów wyniośle, nie zdawali sobie i nie chcieli zdać sprawy — podobnie zresztą jak dzisiaj — ile tracili w dziedzinie dóbr moralnych i materjalnych

przez wrogie nastawienie stosunków do Polski. Polska zaś w rezultacie zawsze na tem zyskiwała.

Celem zapoznania się najpobieżniej z prądem polskim ku Italji i z działalnością polską we Włoszech, należy zwrócić uwagę na trzy dziedziny: religijną, kościelno-polityczną i naukową.

Wskazaliśmy już, że jednym z pierwszych podróżników polskich do Włoch, po św. Wojciechu, który w tamtejszych klasztorach spędził kilka lat, był ów Piastowicz, asceta. Za nim poszli inni, bądź dla tych samych celów, bądź dla interesów w Kurji, które były coraz liczniejsze, gdy idąc w ślady Bolesława Chrobrego, książęta polscy usiłowali zastąpić kler niemiecki w Polsce rzymskim t. j. włoskim, zwłaszcza na ważniejszych posterunkach, jak biskupstwa i opactwa.

W chaosie podziału na dzielnice, w wieku XII i XIII, Polska jako państwo traci zupełnie na znaczeniu i nie jest w stanie przeciwstawić się cesarstwu. Wpływy niemieckie w Polsce biorą górę. Czynnikiem, który ratował wówczas jedność Polski i świadomie odgrywał rolę unifikacyjną, był Kościół polski. Ideę jedności Polski oparł Kościół nie tylko na hierarchji, wspólnej wszystkim ziemiom polskim, na wspólnem ustawodawstwie i obowiązku płacenia świętopietrza z całości tych ziem, ale także na teorji i praktyce zależności Polski od Rzymu, która to zależność była pojęta zarazem jako gwarancja nienaruszalności ziem polskich wobec zakusów obcych na terytorja polskie. W tym okresie też Kościół stał się odnowicielem krótkotrwałego królestwa Przemysława II-go.

Dopiero jednak na przełomie XIV w. może Polska wznowić walkę z żywiołem niemieckim i czeskim, który pierwszemu torował drogę. Władysław Łokietek, rozumiejąc znaczenie Rzymu i papiestwa dla Polski w walce z cesarstwem, podjął bez wahania tradycyjną politykę Piastów, w myśl której Polska stale, z pominięciem cesarstwa, szukała opieki pod zwierzchnictwem papiestwa. Król-tułacz udaje się do Rzymu. Jako wygnaniec pozbawiony tronu znalazł się w r. 1300 w miljonowym tłumie pielgrzymów, którzy z całego świata zbiegli się na jubileusz, ogłoszony przez Bonifacego VIII. Był to pierwszy wielki jubileusz i prawdopodobnie oprócz Łokietka przybyło do Rzymu wielu przybyszów z Polski, celem pomodlenia się u grobu Apostołów.

Ogrom Rzymu, jego cudowności, owe *„mirabilia“* rzymskie, widok siły i zjednoczenia Kościoła, które wystąpiło na jaw tak wspaniale w obchodzie jubileuszowym, musiały zostawić niezatarte wrażenie w umyśle Łokietka, wzmocnić go w jego postanowieniu i dążnościach politycznych wyprowadzenia Polski z chaosu i rozbicia. Idea jedności Kościoła nie mogła mu nie wskazywać na nieodbity postulat zjednoczenia podzielonej ojczyzny. Dla tych dążności znalazł zrozumienie i pomoc w umyśle wielkiego papieża, jakim był Bonifacy VIII, pracujący właśnie wtedy nad umocnieniem zwierzchnictwa Stolicy Apostolskiej na wschodzie.

Władysław Łokietek i u następnych papieży (w okresie awinjońskim) miał oparcie, zarówno dla swych planów koronacyjnych jak i kolejno przeciwko krzyżakom, przeciw Janowi Luksemburskiemu i cesarzowi Ludwikowi bawarskiemu.

Koronacja Łokietka w r. 1320 pozostawała w ścisłej łączności z polityką zachodnią króla, a w szczególności ze stosunkiem do Stolicy Apostolskiej.

Długoletnie wojny z Zakonem krzyżackim, obok wzmocnienia państwa polskiego na zewnątrz, miały doniosłe znaczenie dla stosunków Polski z Zachodem, i to zarówno dyplomatycznych jak kulturalnych, zmuszały ją bowiem do śledzenia i wyzyskiwania konjunktur politycznych, a przez wysyłanie licznych poselstw do Awinjonu i Rzymu, zachęcały do podtrzymywania stosunków kulturalnych na Zachodzie i do rozwoju oświaty i wiedzy w kraju.

W okresie soborów, pizańskiego, konstancjeńskiego i florenckiego, delegacje i poselstwa polskie odgrywają wybitną i umiarkowaną rolę, która znajduje powszechne uznanie. Polska naogół oświadcza się po stronie soborów.

Zaznaczyć tu należy dla uzupełnienia ram politycznych, iż od drugiej połowy XIV wieku występuje na jaw nowy czynnik, który zgórą przez trzy wieki wpływać będzie na ustosunkowanie się do Polski Zachodu, przedewszystkiem zaś papiestwa, oraz państw półwyspu włoskiego, jak zwłaszcza Wenecja. Czynnikiem tym jest potęga turecka i napór jej na Europę i kulturę chrześcijańsko-łacińską, której Polska wraz z Węgrami i Wenecją staje się przedmurzem i obronicielką.

W ten sposób z wypadków politycznych, jak sprawa krzyżacka, unja z Litwą, a potem sprawa turecka, rodzi się ożywiona akcja polityczna i misje dyplomatyczne. Obok obcych, głównie legatów papieskich, posługują się książęta i królowie polscy Polakami. W sprawie tureckiej jeździł między innymi do Awinjonu w r. 1363 Jan z Rzeszowa z ofiarowaniem papieżowi zbrojnej pomocy. W sprawie chrztu Litwy i sprawy litewskiej wogóle, wysłany był do Rzymu Mikołaj Trąba, a potem Dobrogost biskup poznański (1388) z obedjencją Wł. Jagiełły.

Sobory w Konstancji, Pizie, Florencji i Bazylei obsyła Polska swietnemi delegacjami. Do Pizy jeździł Piotr Wysz i delegaci uniwersytetu krakowskiego. Pomijamy nazwiska delegatów na inne sobory.

*

Z kolei spoglądnijmy na dziedzinę stosunków kulturalnych w ściślejszem tego słowa znaczeniu.

Wiek XI — to początek przenikania do Polski, świeżo nawróconej, wpływów i pojęć chrześcijańskich i ścieranie się ich z prastarym żywiołem słowiańsko-pogańskim. Ten proces chrystjanizacji, w którym Kościół i jego organizacja na ziemiach polskich odgrywał z natury rzeczy naczelną rolę, dokonywał się zwolna i nie bez znacznych przeszkód, których nowy obyczaj nie zdołał zupełnie przełamać.

W Polsce w XI w. ludzie wykształceni byli nieliczni i życie umysłowe budziło się dopiero pod koniec XII w., właśnie pod działaniem przybyszów z Zachodu, i to nie tylko obcych ale i swoich. Spóźniona kulturalnie w stosunku do Zachodu, Polska stara się jednak doścignąć go wielkiemi krokami.

Polska ma wtedy władcę o aspiracjach wyższych, którego zajmują problemy nauki, Kazimierza Sprawiedliwego. Ma już pierwszych uczonych o typie zachodnim, jak mistrz Wincenty Kadłubek, biskup krakowski, autor pierwszej kroniki polskiej. Był on, jak wielu innych współczesnych mu, wychowankiem uniwersytetu bolońskiego, gdzie z Polski udawano się licznie dla studjów prawa rzymskiego, podczas gdy teologję studjowano w paryskiej Sorbonie a potem w Rzymie.

Bardzo doniosłym faktem w XIII w., nietylko religijnego, ale ogólno narodowego znaczenia, bo jednoczącym cały naród pod względem politycznym, była kanonizacja św. Stanisława, której ogłoszenie nastąpiło we wrześniu 1253 r. w murach bazyliki św. Franciszka w Assyżu. Akt ten, nad którego przeprowadzeniem pracowali tak usilnie pierwsi polscy minorycy, został uwieczniony we freskach, które przedstawiają cuda Świętego i dochowały się po dziś dzień w bazylice asyskiej.

Z początkiem XIII w. wyjazdy do uniwersytetu bolońskiego mnożą się. Wyszli z niego m. in. Jakób ze Skaryszewa, zm. w r. 1267 oraz inny Jakób, doktór, kanonik i proboszcz kapituły wrocławskiej, zm. w 1307 r.

Wychowankami uniwersytetu bolońskiego byli również Jarosław Bogorya ze Skotnik, biskup krakowski, znakomity prawnik i zaufany doradca Łokietka i Kazimierza W., a dalej Janusz Suchywilk ze Strzelec, kanclerz krakowski i Florjan Mokrski kasztelanic sandomierski. Jarosław Bogorya Skotnicki był syndykiem uniwersytetu bolońskiego w r. 1321 t. j. w chwili sporu miasta ze studentami, którym przewodził i spowodował ich „*exodus*" do Imoli. Janusz Suchywilk był kanclerzem krakowskim w latach 1357 — 73, Mokrskiego zaś wysłał Kazimierz W. do Bolonji nietylko na naukę, ale także dla zapoznania się z urządzeniem tamtejszego uniwersytetu, jak niemniej padewskiego, na którym wzorował się uniwersytet krakowski. Suchywilk zasłynął jako biskup i prawodawca synodalny.

Oprócz pomienionych studjowali w Bolonji Stanisław z Książa, proboszcz Miechowitów (1381) Jakób z Polski prowincjał minorytów polskich, Tomasz Strzempiński, późniejszy rektor krakowski i biskup.

Równocześnie nie brak studentów polskich w Padwie, Ferrarze, Rzymie i Sjenie. W Padwie będzie ich, zwłaszcza później, najwięcej. W XIV w. kształcił się na uniwersytecie padewskim pod Franciszkiem Zabarellą (1408) słynny Paweł syn Włodzimierza, późniejszy uczony prawnik krakowski.

Do XVI w. kontakt Polski z Włochami był mimo wszystko, sporadyczny, ale utorował on drogę wielkiemu prądowi polskiemu, który wzmógł się i wezbrał w okresie humanizmu i odrodzenia t. j. pod koniec XV-go i przez cały wiek XVI.

„Niema prawie za ostatnich Jagiellonów znakomitego człowieka w Polsce, któryby nie odbył swej włoskiej podróży, nie czerpał wiedzy u najstarszych i najobfitszych źródeł południa". (K. Morawski: A. P. Nidecki 55). To nie bez przesady stwierdza Górnicki „iż za żadnego polskiego króla tak wielu uczonych ludzi w Polsce nie było" jak za Zygmunta Augusta.

Warunki geograficzne i polityczne Polski, położenie na bliskim wschodzie, połączenie z Litwą i wzmocnienie się państwa polsko-litewskiego, uczyniły z Polski potęgę, z którą wszyscy musieli się liczyć, a której pomoc wobec niebezpieczeństwa tureckiego była niezbędną.

Na Polskę Zygmunta I zwrócone są oczy całej Europy. Małżeństwo Zygmunta z Boną Sforzą ułatwia i rozszerza napływ Polaków do Włoch i Włochów do Polski. Bona i jej otoczenie przywożą do Polski gust włoski.

Do Italji śpieszą już nie dziesiątki, ale setki Polaków po naukę, po ogładę i humanizm.

(Dok. nast.) MACIEJ LORET

NASZA SZTUKA DEKORACYJNA

W CZERWCU, w Salonie Czesława Garlińskiego odbyła się wystawa prac Leonarda Pękalskiego. Krytyka, między innymi i niżej podpisany, zajęła się nią w swoim czasie, sygnalizując jej otwarcie szerszemu ogółowi i poddając ją właściwej ocenie. Nawrót do sprawy pozornie już nieaktualnej musi mieć pewne usprawiedliwienie. Okazję do wypowiedzenia na temat naszej sztuki dekoracyjnej szeregu uwag, o charakterze bardziej ogólnym, daje nam fakt prowadzenia od niedawna przez Pękalskiego bardzo poważnej placówki, za jaką musimy uważać pracownię malarstwa dekoracyjnego w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych. Wiodła ona w ostatnich latach żywot niemal suchotniczy, z powodu przeciągłych niedomagań, a potem choroby ś. p. Edwarda Trojanowskiego. To też jej powrót do życia witamy z prawdziwą radością, a urządzoną niedawno wystawę prac kierownika pracowni jesteśmy skłonni rozpatrywać nie jako dzieła człowieka (że się tak wyrażę) prywatnego, lecz pod kątem widzenia: jakie nowe wartości autor ich zdolny jest wnieść w metody nauczania profesorów Szkoły Sztuk Pięknych?

Wzbogacenie grona osób nauczających może być jedynie ilościowe, o ile poglądy, sposoby i cele nauczania u nowego członka ciała pedagogicznego nie wiele się różnią od artystycznego *credo* kolegów — lub też i jakościowe, jeżeli są od nich odmienne. Oczywiście to ostatnie, dla wszechstronnego rozkwitu uczelni, uważamy za bardziej pożądane.

Piszemy o tem dlatego, gdyż stosunkowo niedawno Szkoła Sztuk Pięknych otrzymała również nowego profesora: Karola Stryjeńskiego. I jakkolwiek ani jemu, ani profesorom Jastrzębowskiemu, Czajkowskiemu i Kotarbińskiemu nikt nie może odmówić wybitnej indywidualności, to z drugiej strony stanowią oni razem zwartą grupę o znamionach wyraźnej wspólnoty.

W wypadku bardziej zdecydowanej różnorodności poglądów, kierownicy pojedyńczych pracowni powinni jednak pamiętać, aby różnice nosiły raczej charakter wzajemnego uzupełniania się, a nie rozdziału, utrudniającego związanie poszczególnych działów w jeden organizm Szkoły. Przy dzisiejszym stanie rzeczy uczniowie z pracowni prof. Jastrzębowskiego, przechodząc do prof. Pruszkowskiego, zdają się nie mieć możności właściwego użycia tu wiedzy uprzednio nabytej. I odwrotnie: starzy „pruszkowiacy" (klasyczni sztalugowcy) okazują, szkodliwy przedewszystkiem dla siebie samych, brak zrozumienia dla tego, co się dzieje w obrębie sztuki dekoracyjnej. W związku z tem, pracownię malarstwa dekoracyjnego uważamy za jakby predystynowaną do odegrania roli łącznika. Zwłaszcza iż charakter prac własnych jej obecnego kierownika, Pękalskiego, oraz wpływ jego na uczniów, jaki już daje się zauważyć, pozwalają żywić jaknajdalej idące przypuszczenia. Dobrze pojęta dekoracyjność nie usuwa tu na drugi plan malarskich walorów dzieła. Zwracamy na to specjalną uwagę, gdyż w czasach ostatnich niektórzy zdają się zapominać o równo-

wadze, jaka powinna istnieć między kompozycyjną a techniczną stroną malowidła.

Ale nie dosyć przyjść z czemś, trzeba się jeszcze zjawić w porę. Z okazji ostatniej wystawy Szkoły Sztuk Pięknych, p. Husarski, z właściwą sobie dyplomatyczną ostrożnością, pisze o dziale dekoracji: „Przedstawia się pozatem — nie wiem czy z tego samego powodu — (nieobecność prof. Jastrzębowskiego) jednostajniej“. A dalej, już całkiem wyraźnie i pod adresem bardziej ogólnym: „Odczuwa się tu pewne jak gdyby symptomaty zesztywnienia akademickiego. Zasady kształtowania pozostały tu też same, co dawniej, jest to toż samo operowanie czystą, geometryczną formą, toż samo poszukiwanie konstrukcyjnej rytmiki prostych linij, gładkich płaszczyzn i krystalicznych brył — ale mniej w tem wszystkiem, niż dawniej, wynalazczości i pomysłowości, a więcej rutyny. Stwierdzić zresztą należy, że jest to objaw, występujący obecnie na całym świecie; konstruktywizm wkraczać zaczyna w fazę akademizmu“. Ze swej strony pisałem z racji wystawy Pękalskiego: „...za klasyczną dekoracyjność przyjęto uważać pewne, niesłychanie rygorystyczne rytmizowanie kompozycji, układ szematyczny, poddany wprost żołnierskiej dyscyplinie. Doprowadziło to do pewnego zubożenia kształtu, nadało mu niejaką sztywność i suchość“...

Przytoczone powyżej głosy są stwierdzeniem stanu rzeczy, który chyba nie uszedł powszechnej uwadze. W sztuce dekoracyjnej (mamy na myśli przedewszystkiem komponowanie na płaszczyznie), pewne formy wypowiadania się, niegdyś nowe i oryginalne, spowszechniały poprostu i pozbawione blasku świeżości, stały się niezawodnym „pewnikiem“, szablonem zbyt łatwo i chętnie stosowanym. To też w chwili obecnej pojawienie się na horyzoncie artysty o innych niż omawiane poglądach wnieść może pożądany czynnik urozmaicenia. W interesujących nas w danym wypadku kompozycjach Pękalskiego nie widzimy wcale form geometrycznych, ani dążenia do geometryzacji, natomiast zaznacza się wyraźnie falisty i płynny kontur kształtu. Ta żywość sylwety nadaje postaciom wrażenie ruchu — ruch staje się również tematem samych obrazów. Oto tytuły olejnych prac: „Porwanie“, „Wojna“, „Atak“. Jak dotychczas w dekoracyjnych kompozycjach fignralnych spotykaliśmy się zwykle z czemś wprost przeciwnem: dbano jedynie o rytmiczny układ postaci, nie bacząc na to, czy takie upozowanie coś wyraża, czy jest ruchem, logiczną treścią pewnego działania. Osobną pozycję w tej dziedzinie stanowią dzieła Stryjeńskiej, znakomitej odtwórczyni ruchu, lecz rzecz charakterystyczna, należy zauważyć, i ona również upraszcza swoje postacie w ten sposób, że ich kształt upodobnia się wkońcu przez swą prostotę formom geometrycznym, a linje jej są proste jak cięcia szablą.

Najlepszym argumentem we wszystkich omawianych przez nas kwestjach byłyby, oczywista, umiejętnie zestawione ilustracje, niestety nie możemy skorzystać z tego środka. Dlatego też, dla porównania obu rozpatrywanych kierunków, będzie pożyteczne chociażby pamięciowe zestawienie dzieł ich najcharakterystyczniejszych przedstawicieli: z jednej strony Pękalskiego, z drugiej zaś Kurzątkowskiego. Prace tego ostatniego, obecnie kierownika pracowni malarstwa dekoracyjnego (po ś. p. Edw. Trojanowskim) w Miejskiej Szkole Zdobnictwa, są klasycznym przykładem poglądów wyznawanych (i utworzonych) przez środowisko Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych. Nadają się przedewszystkiem do dekoracji wnętrz lokali rozrywkowych, np. kawiarni, kin, barów, czasem i do więcej statecznych budowli użyteczności publicznej, zawsze jednak o charakterze i przeznaczeniu współczesnem. W świątyniach, poważnych gmachach monumentalnych, lub historycznych, bardziej na miejscu byłyby koncepcje dekoracyjne Pękalskiego. W jego pracach wyczuwa się silną więź tradycji, która każe im być ogniwem w łańcuchu następujących po sobie kultur. Każde „dzisiaj“ jest dorobkiem dnia wczorajszego — dzieła rekonstruktora fresków wawelskich mówią o tem dobitnie.

I jeszcze jedna rzecz, dla której odrębność sztuki Pękalskiego (na naszym terenie) wydaje się szczególniej cenna. Postaramy się to szerzej uzasadnić. Troska o polskość naszej plastyki nigdy nie była obca jej twórcom. Dziś jest ona hasłem dnia, zwłaszcza u artystów, pracujących w dziale sztuki dekoracyjnej, tem niemniej i jakby dziwnem zrządzeniem losu, pewne jej odłamy, jak np. grafika użytkowa (reklama) i po części dekoracje wnętrz stylem swym zbyt przypominają też same działy w sztuce narodu, z którym w wielu innych dziedzinach trudno nam się jakoś pogodzić. Oglądając niemieckie pismo „*Gebrauchsgrafik*“ uczniowie Szkoły Sztuk Pięknych odnajdują w niem nietylko prace podobne do ich własnych, lecz także i kompozycje pokrewne dziełom profesorów. Podczas swojej bytności w Niemczech, autor tego artykułu widział w wielu kinach Monachjum, b. dobre dekoracje wnętrz i miał całkowite złudzenie, że projektował je... Kurzątkowski. Wpływ obcych kultur w pewnej mierze jest nie do uniknięcia, wzmożony jednak, nigdy nie będzie zjawiskiem pożądanem. W niektórych działach naszej sztuki dekoracyjnej stwierdzamy przerost wpływów niemieckich. Natomiast u Pękalskiego nie dostrzegamy ich wcale. Zahacza on raczej o Francję. Musimy tutaj wyjaśnić o jakiej Francji mowa. W malarstwie mamy przecież dosyć „francuzów" i może trochę zadużo. Ściślej mówiąc, są to „paryżanie“. Ale w artykule p. Kociatkiewiczówny p. t. „O zagadnieniu sztuki narodowej w dobie współczesnej“ [1]) czytamy: „Malarzami awangardy w Paryżu są obecnie Rusini, Bułgarzy, Tatarzy, Włosi, Słoweńcy, Finnowie i Polacy dla których Giotto wymawia się „Ghetto““. Z tą „Francją“ Pękalski (poza pokrewną w swej współczesności techniką obrazów olejnych) niewiele ma wspólnego. Sztuka jego wyrastała pod wybitnym wpływem kultury łacińskiej. I przez nią to może potrafi przemawiać językiem, nieobcym dla rdzennych Gallów, będąc jednocześnie zrozumiałym i dla nas.

Nie trzeba chyba dodawać, że w jakimkolwiek kontakcie naszym z Zachodem, najbardziej bliski winien być nam skarbiec kultury łacińskiej, chociażby ze względu na historję sztuki w Polsce epok ubiegłych.

Nie chcemy być posądzani o nadawanie przesadnego znaczenia roli, jaką może odegrać Pękalski na stanowisku jednego z pedagogów Szkoły Sztuk Pięknych. Wiemy jednak, iż wpływy tej uczelni sięgają daleko poza orbitę jej bezpośredniego działania. W kształtowaniu się oblicza współczesnej sztuki dekoracyjnej bierze ona udział jaknajbardziej czynny a może i decydujący. Wniesienie w tą współpracę elementów dotychczas przez nią nie wyzyskanych może na jej dalszy rozwój wpłynąć tylko dodatnio.

WIKTOR PODOSKI

[1]) Plastyka Nr. 1, czerwiec 1930 r.

GŁOSY

GDZIEŻ TE JACZEJKI KOMUNY?

Artykuł poniższy nadesłał nam p. Jalu Kurek, z prośbą o wydrukowanie w odpowiedzi na zamieszczone w nr. 39 „Myśli Narodowej“ uwagi p. K. L. Konińskiego.

(Red.)

DOPIERO teraz, po przyjeździe z zagranicy, przeczytałem artykuł wnikliwego krytyka i doskonałego publicysty, K. L. Konińskiego p. t. „Poezja agory i poezja wnętrza“, zamieszczony w n-rze 39 „Myśli Narodowej“. W artykule tym autor poddaje analizie i krytyce mój „Manifest poetycki“ z grudnia ub. roku.

W „Manifeście“ jest rzucona myśl uspołecznienia poezji, jest podkreślona doniosłość współudziału poetów w budowaniu państwa. Koniński pisze: „To ma być poezja agory — zgoda; ale ja się oglądam za wzgardzoną poezją wnętrza“.

Istotnie znajduje się u mnie powiedzenie, skierowane do poetów: „Piszecie dla społeczeństwa, nie dla siebie, ani dla swoich narzeczonych“. — co popycha mojego krytyka do obrony naszych przyszłych żon: „wstawiam się za poezją dla narzeczonych“.

Obrona Konińskiego rozciąga się wogóle na poezję miłości, na poezję życia prywatnego, na poezję najciekawszą, bo ujmującą najintymniejsze życie wewnętrzne jednostki.

P. Koniński obarcza mnie ciężkiemi zarzutami. Otóż to deklasowanie poezji wnętrza jest według niego „nieświadomą emanacją sowietyzmu“. Co więcej, w hasłach moich widzi on „duchowe jaczejki sowietu“ i w ich utajonych suggestjach widzi „przygotowywanie psychiki inteligencji na przyjęcie komuny“.

Dementuję fałszywą suggestję „zbiorowości“.

Wyjaśniam. Jest to moja pierwsza odpowiedź publiczna w sprawie owego „Manifestu“.

Zachęcając poetów do śpiewania tematów nowych, chcę zaprząc poezję w dziedzinę służby społecznej. Nadaję jej sens ważności ogólnej. Nie jest to deklasowanie poezji dla narzeczonych, jest to stawianie poezji na wyżynie odpowiedzialności.

Propaguję tęsknotę do nowego romantyzmu, w którym nie będą likwidowane tęsknoty narzeczeńskie — owszem, w którym będzie i ciepły liryzm uczucia. Piszę przecież wyraźnie: „Kto powiedział, że wiersz o sadzeniu kapusty lub o robieniu butów jest mniej piękny i ważny, niż śpiewanie o oczach kobiecych“?

Gdzież tu jest deklasowanie wnętrza? Jestem tylko za wdarciem się poezji w dziedziny niewyśpiewane. Kocham oczy kobiece, ale jest mi przykro, że poeci tak mało piszą o pracy ludzkiej, o roli, o miastach, o fabrykach, o wielkich ludziach i o znakomitych czynach. Jakaż to rażąca niewspółmierność, że od tylu tysięcy lat głaszczemy słodkiem słowem kobiety, które dlatego są najpiękniejsze, bo my je kochamy — a zapominamy o całym świecie, który czeka na nasze usta!

Kto w tym programie wyczuwa duchowe jaczejki komuny? Kto twierdzi, że program ten odrzuca życie wewnętrzne jednostki?

Ja podnoszę krzyk jednostki t. j. poety z platformy jego najintymniejszych wzruszeń, do poziomu ważności ogólno-społecznej. Nie deklasuję tego krzyku, podkreślam go, czynię go ważnym.

Jest to w istocie rzecz zupełnie prosta. W zagadnieniach poetyckich (jeśli mowa o prawdziwych artystach) kwestja formy odgrywała zawsze wielką rolę. Można powiedzieć, że cała niemal liryka t. j. poezja uczuciowa, osobista żerowała na uczuciach, na psychologizmie, na samoobnażaniu się. Znajdowali tu ucieczkę, łatwiznę i usprawiedliwienie ci wszyscy, którzy chcieli pustkę duchową zagłuszyć nieopanowanym bełkotem własnego serca. Wytwarzali ulegalizowaną grafomanję.

Przychodzę więc i wołam: Poeci, wejdźcie w naród, dla niego przecież piszecie (nietylko dla narzeczonych, także dla rodziny, dla znajomych, dla młodzieży, dla kobiet i t. d.), kopcie w nowych możliwościach!

P. Koniński uległ fałszywej suggestji „zbiorowości“. Nigdzie jej nie proklamuję. Podkreślam tylko ważność i wpływ poezji na zbiorowość t. j. na naród.

P. Koniński, obrońca poezji dla narzeczonych, tęskniący za słodką fletnią samotności, woła do poetów: „Śpiewajcie sobie i o sobie!“.

Nic fałszywszego nad śpiewanie sobie. Odpada cała ambicja twórcza, siła i cel wyrazu poetyckiego, odpada charakter rewelacji.

Nie jestem przeciwko śpiewaniu o sobie, ale jestem za rozszerzeniem tego ciasnego poglądu: — śpiewajcie o wszystkiem. Prawda o życiu nie mieści się tylko w sercu człowieka. Znaleźć ją można wszędzie.

JALU KUREK

WYCHOWANIE NARODOWE

ZAGADNIENIE SZKOLNICTWA POWSZECHNEGO NA WSI

W NUMERZE 37 i 38 „Myśli Narodowej” poruszył b. kurator, p. Wincenty Sikora sprawę tendencyj rozwojowych szkolnictwa powszechnego w Polsce. Autor stwierdza, że na całym terenie państwa liczba szkół 1-klasowych zmniejsza się, wzrasta natomiast liczba szkół 2-7 klasowych, lecz że trudno dziś oznaczyć, do jakich granic dojdzie ten rozwój, na jakim poziomie zatrzyma się procentowe ustosunkowanie szkół poszczególnych typów organizacyjnych. Pośrednio wypowiada p. Sikora przekonanie, że każdy z typów zatrzyma się na czas pewien, a wkońcu ustali się granica danego typu i to w każdem województwie inaczej, zależnie od gęstości zaludnienia.

W trakcie swych wywodów wypowiada autor zasadę, iż najlepsza jest taka sieć szkolna, która nie pozostawia ani jednego dziecka w wieku szkolnym w takich warunkach, by nie mogło ono skutkiem odległości, czy złych warunków komunikacyjnych uczęszczać stale do szkoły.

Tabele ilustrujące rozwój organizacyjny szkół według danych statystycznych Głównego Urzędu Statystycznego z r. 1929 wykazują, że rozpiętość procentowa szkół wynosi:

1 kl.	od 41·47	w woj. połud.	—	62·64	we wschodnich
2 „	„ 18·28	na Śląsku	—	27·	na zachodzie
3 „	„ 7·23	na wschodzie	—	17·56	na Śląsku
4 „	„ 2·57	„ „	—	9·49	„ „
5 „	„ 0·95	na zachodzie	—	5·73	„ „
6 „	„ 0·50	„ „	—	6·09	„ „
7 „	„ 0·74	„ „	—	28·18	„ „

Tych parę liczb orjentuje już nawet niefachowca, że warunki życiowe muszą być bardzo rozmaite, skoro objawy zewnętrzne, wyrażające się w stopniu organizacyjnym szkół, są tak różnorodne.

Liczby powyższe nie mogą być oczywiście rozumiane w ten sposób, że skoro w Poznańskiem i na Pomorzu mało jest szkół 5, 6 i 7 klasowych to kultura tych ziem jest niską, że przewyższa je kultura województw centralnych, czy województwa lwowskiego. Tu wyłania się odrębne zagadnienie oświaty pozaszkolnej, urządzeń prawnych, społecznych, gospodarczych, które wywierają wpływ na młodzież starszą i kształtują jej kulturalne oblicze bez względu na podbudowę obowiązkowego wykształcenia, jaką jest taki, czy inny stopień organizacyjny szkoły, którą kończą obywatele danej dzielnicy.

Tu stajemy wobec pytania, co lepiej: czy żeby wszystkie dzieci kończyły szkołę, choćby o nieco niższym poziomie, czy żeby przez zbytnie podwyższenie stopnia organizacyjnego wytwarzać różnice idące bardzo daleko, bo obok dzieci kończących szkoły 7 klasowe, w dalszym ciągu istnieją i będą istniały dzieci, kończące tylko 1 i 2 klasowe szkoły, lub wreszcie dzieci, które na skutek przesadnego zastosowania ustawy z 17. II. 1922 r. — o 3 kilometrowym promieniu drogi dziecka do szkoły — wogóle do szkoły uczęszczać nie mogą.

P. Sikora przypuszcza, że granica dla szkół 1 klasowych ustali się na poziomie 30—40%, 2 klasowych 30—35%, 3 klasowych 20%, 4 klasowych 5—10%, 5, 6 i 7 klasowych również na 5—10%. W różnych dzielnicach stan ten będzie odmienny. Ten rezultat rozważań daleko odbiega od oficjalnego optymizmu, który się ujawnił w projekcie ustawy o ustroju szkolnictwa, opracowanym przez specjalną Komisję, powołaną przez byłego ministra W. R. i O. P. dr. Gustawa Dobruckiego, a w którym przewidziano, że samych dzieci wiejskich będzie się kształciło w szkołach 6 i 7 klasowych 38·67%, w 3-5 klasowych 50·97%, 2 klasowych 8·09%, w 1 klasowych 2·27%.

Prawda życiowa znajdzie się zapewne w pośrodku, ale sam ten kontrast świadczy o złudzeniu, jakiemu ulegają niektórzy teoretycy szkolnictwa, którzy nie doceniają warunków rozsiedlenia ludności, właściwości geograficznych terenu, a przedewszystkiem czynników ekonomicznych, siły gospodarczej państwa. Czego można dokonać pod względem organizacyjnym na Śląsku (10·1 miejscowości na 100 klm²), czy w województwie łódzkiem (9·5), o tem nie można marzyć na Wołyniu (3·3), na Wileńszczyźnie (3·9), a tembardziej na Polesiu (1·8). O ile powiaty katowicki, chrzanowski, częstochowski, wieluński mogą mieć od 60—90% szkół 7 klasowych, a ani jednej szkoły 1-klasowej, to w powiecie kowelskim, czy święciańskim, przez długie dziesiątki lat najczęstszym typem szkoły musi być 1 klasowa szkoła. Decydować o tem będą: rzadkie zaludnienie, bagna, lasy i brak dróg.

Ostatnie dwa lata rządów ministra Czerwińskiego w szkolnictwie dowodzą, że od najlepszych chęci do wykonania jest bardzo daleko. Pięknie, dobrze i słusznie obliczono, ile to tysięcy nauczycieli będzie co roku potrzeba, ile miljardów należy wydać na budowę szkół w ciągu dwudziestu lat, ale nie pomyślano o źródłach, z których należy czerpać na te potrzeby narodowe i państwowe.

O ile w dniach rzekomej reakcji rozszerzono szkolnictwo, a teoretycy pisali książki i robili obliczenia, to dziś za czasów „radosnej twórczości" szkolnictwo powszechne załamuje się i cofa. W szeregu województw skonstatowano, że największe procentowe ogarnięcie dzieci w wieku szkolnym przez szkołę istniało w r. 1928/9, a w roku następnym 1929/30 nietylko nie wyrównano niedoboru, jaki jeszcze pozostawał, ale w cząstce tylko ogarnięto przyrost, jaki falą zalał nasze szkoły. W rezultacie ujawnił się spadek procentowy liczby dzieci, które zdołano pomieścić w szkołach, w stosunku do ogólnej liczby dzieci w wieku szkolnym, spadek, dochodzący w niektórych powiatach do dwóch procent.

Jak zamkniemy obecny rok szkolny? Dzieci przybyło przeszło 300 tysięcy, a tymczasem z 4 tysięcy etatów, przewidzianych przez budżet, rząd dał pono tylko 1.500 etatów. Licząc po 50 dzieci na nauczyciela, będzie można wziąć do szkół około 75.000 dzieci, t.zn. 25%; reszta będzie skazana na analfabetyzm. Wszystkich dzieci w wieku szkolnym mamy w obecnym roku 4.300.000, jeżeli z przyrostu nowego (rocznik 1933) zostanie w domu 225.000, to w rocznym bilansie da to cofnięcie się na obszarze całego państwa o 5·2% dzieci nie uczęszczających do szkół.

A teraz przypatrzymy się tej katastrofie oczyma Pomorzanina, któremu zagraża zachłanność niemiecka, oczyma Ślązaka, przywykłego od przeszło 100 lat do obowiązkowej szkoły powszechnej, Krakowianina, który również doszedł do 100% dzieci w szkole. Sprawozdania inspektorów szkolnych zapewne niedługo ujawnią to załamanie się powszechnego nauczania w dobie rządów sanacyjnych.

Ujawni się brak planu rządu, a przedewszystkiem nierealność projektu ustawy o ustroju szkolnictwa, który chce stworzyć jednolite szkolnictwo, czyniąc 7 klasową szkołę powszechną podbudową, na której ma się wznieść gmach całego systemu szkolnego.

Po trzechletnich doświadczeniach od chwili ukazania się projektu ustawy widzimy, że zagadnienie szkolnictwa powszechnego jest nieco trudniejsze, niż się to teoretykom przy biurku wydawało. Łatwiej jest zepsuć szkołę średnią, redukując liczbę lat nauki z ośmiu na pięć, łatwiej papierowo uzgodnić programy wyższych oddziałów szkoły powszechnej z trzema niższemi klasami szkoły średniej, niż dotrzymać społeczeństwu obietnicy stworzenia powszechnego nauczania w zakresie możliwie najwyższego stopnia organizacyjnego.

Jeżeli zaś warunki geograficzne, osiedleniowe i ekonomiczne nie pozwolą na usunięcie szkół 1 i 2 klasowych, i na długie lata utrwali się ten stan, że ten typ szkół będzie ogarniał około 2 miljonów dzieci, nie można łudzić siebie i drugich, że ustrój szkolny wedle recepty szkoły jednolitej zostanie rychło zrealizowany.

Z. GÓRSKI

NAUKA I LITERATURA

PIERWSZA POLSKA HISTORJA TRAGEDJI GRECKIEJ

W PODJĘTEM przez lwowską księgarnię K. S. Jakubowskiego wielce pożytecznem i pierwszem tego rodzaju u nas wydawnictwie monografij i podręczników, opracowanych przez najwybitniejszych fachowców i znawców danego przedmiotu, ukazała się niedawno obszerna, dwutomowa monografja prof. uniw. lwowskiego Stanisława Witkowskiego, traktująca o „Tragedji greckiej" (Lwów 1930. Księgarnia K. S. Jakubowskiego i S-ki). Pracę swą przeznaczył autor zasadniczo jako podręcznik dla studjujących filologję klasyczną uczniów uniwersytetu, jednakowoż, po odrzuceniu balastu bibljograficzno-przypisowego oraz pewnych (zaznaczonych w przedmowie) ustępów, mających znaczenie tylko dla specjalistów, książka ta powinna się znaleźć jako zajmująca lektura w ręku ogółu wykształconych czytelników polskich.

Po uwagach wstępnych o Atenach jako kolebce tragedji greckiej, o istocie dramatu i oryginalności tragedji greckiej przechodzi autor do przedstawienia dokładnego rozwoju badań nad powstaniem tragedji u Greków, tym najtrudniejszym problemem historji literatury greckiej. Zestawiając obszernie poglądy dawniejszych i nowych filologów, sztreszcza dokładniej wyniki badań Wilamowitza, jako jednego z najwybitniejszych znawców przedmiotu, lecz poddaje je ostrożnej krytyce. Następnie przystępuje prof. Witkowski do szczegółowego wykładu swoich własnych zapatrywań na początki tragedji greckiej, z wyprowadzeniem jej z kultu Dionizosa oraz z podkreśleniem tak znamiennego religijnego charakteru pierwotnego teatru greckiego, aby w dalszym ciągu w ciekawym a logicznym wywodzie unaocznić nam, jak z kultowego dytyrambu wywiązuje się akcja sceniczna, jak opowiadający o losach boga czy herosa przemienia się w aktora (reforma Tespisa), a treść dionizyjska ustępuje miejsca wątkowi heroicznemu. Osobny rozdział poświęca autor starożytnościom scenicznym t. j. technicznej stronie wystawiania tragedyj, zapowiadając przy tej sposobności, że uroczystościom dionizyjskim oraz historji teatru greckiego zamierza poświęcić specjalne monografje, na które z niecierpliwością oczekiwać będziemy. Scharakteryzowawszy w dalszym ciągu zasługi pierwszych poetów tragicznych i pierwszych kodyfikatorów dramatu: Tespisa, Choirilosa, Pratinasa, Prynichona, w głównej części swej obszernej, dwutomowej pracy omawia prof. Witkowski życie, znaczenie oraz twórczość trzech największych tragików greckich: przedstawiciela tragedji archaicznej: Aischylosa, tragedji klasycznej: Sofoklesa i tragedji nowej: Eurypidesa, dając nietylko znakomite analizy poszczególnych utworów, z przedstawieniem ich wpływów i ech w literaturze europejskiej, a szczególnie polskiej oraz z rejestracją ważniejszych wydań, dzieł pomocniczych i komentarzy, lecz również świetne w literackiem ujęciu, a głębokie w ocenie, przytem sporo oryginalnych myśli zawierające syntetyczne charakterystyki poszczególnych autorów, jako dramaturgów, poetów i artystów.

Według prof. Witkowskiego „Aischylos i Eurypides są genjuszami, z których pierwszy tragedję stworzył, drugi przekształcił ją w nowy typ dramatyczny, żywotny po dzień dzisiejszy. Sofokles był tylko wielkim talentem, artystą-wirtuozem, któremu nie było dane wytyczać nowych dróg, ale który tworzył w ramach odziedziczonej formy utwory pod każdym względem doskonałe..." Jak widać z tego cytatu prof. Witkowski przeprowadza pewną rewizję utartych poglądów, rehabilitując genjusz Eurypidesa, którego dotychczasowe oceny uważa za krzywdzące. O ile bowiem z Aischylosa i Sofoklesa mamy tylko wybór sztuk najlepszych, na których nasz sąd opieramy, o tyle w bogatej puściźnie Eurypidesa zachowały się również sztuki słabsze. Należałoby z pośród znanych sztuk Eurypidesa wybrać 7 najlepszych i dopiero na ich podstawie przeprowadzić porównanie z poprzednikami. Tak też czyni prof. Witkowski, dokonując równoczeście szczegółowej analizy całej twórczości autora „Medei" oraz charakteryzując jego znaczenie nietylko jako poety, lecz również jako myśliciela. Przyznając Eurypidesowi, że jest pierwszym realistą, nieporównanym znawcą dusz ludzkich i współczującym odtwórcą cierpienia, podkreśla autor głębokość problemów, poruszanych przez tego najnowocześniejszego z tragików greckich, wszechstronność charakterystyk jego postaci oraz wysoki artyzm (pozorne usterki, np. nieprawdopodobieństwo psychologiczne, znajdują tutaj wytłumaczenie w dążności do wywoływania silnych efektów scenicznych), dzięki czemu nerwowe czasy, w których żył autor „Medei", możemy poznać lepiej z jego utworów, niż z utworów któregokolwiek innego pisarza epoki.

Monografję swą zamyka prof. Witkowski zanalizowaniem anonimowej tragedji z IV w. p. t. „Rezos" (przypisywanej przez niektórych filologów młodemu Eurypidesowi, jednakowoż na podstawie różnic językowych zostaje tu ustalone autorstwo innego, bliżej nieznanego poety, pozostającego pod wpływem Eurypidesa) oraz b. ciekawem syntetycznem przedstawieniem rozwoju tragedji greckiej, jej cech charakterystycznych i wysokich walorów zarówno artystycznych jak i etycznych (tendencja moralna, poczucie prawa, obrona słabych i uciśnionych, uznanie godności kobiecej itp. — dzięki którym to momentom autor monografji stawia tragików wyżej od filozofów greckich). W zakończeniu, traktującem o „Znaczeniu tragedji greckiej" reasumuje prof. Witkowski rozrzucone przy omawianiu poszczególnych utworów uwagi o wpływie tragików greckich na późniejszych dramatopisarzy, dochodząc do konkluzji, że cały dramat nowoczesny (hiszpański, angielski, francuski) opiera się na podstawach greckich, przyczem jednego tylko Szekspira stawia obok Aischylosa, Sofoklesa i Eurypidesa, jako tego, który do dramatu wniósł istotnie nowe wartości.

Ze względu na rzetelne znawstwo przedmiotu oraz głębokie a ciekawe ujęcie treści, ze względu wreszcie na jasny i zajmujący sposób wykładu można się spodziewać, że książka prof. Witkowskiego zajmie nietylko fachowców-filologów, ale że znajdzie chętnych czytelników wśród najszerszych warstw wykształconej publiczności, jako znakomite przygotowanie do lektury tragików greckich, których znajomość należy przecież do podstaw wykształcenia ogólnego.

RAJMUND BERGEL

RUCH WYDAWNICZY

Jako tom IX „Studjów z zakresu historji literatury polskiej", wydawanych z zasiłku Min. Oświecenia przy kasie im. Mianowskiego, ukazało się studjum p. Janiny Znamirowskiej „Liryka powstania Listopadowego" (Warsz. 1930. S. 8 nl. i 228).

Autorka zastosowała metodę niemiecką Dibeliusa, który ją obmyślał do pracy swojej o romansie angielskim. Polega ta metoda — jak uprzedza w przedmowie autorka — na „śledzeniu poszczególnych elementów twórczości (np. kierunki ideowe) poprzez wszystkie omawiane utwory. Nie według osób i rodzajów grupuje utwory, lecz według tematów. Pracę rozłożyła autorka na trzy części: 1) Ideologa, 2) Odbicie powstania w poezji, 3) Forma. Zachodzi pytanie, dlaczego nie posługujemy się w takich robotach własną metodą, która przez wmyślanie się w temat historyczny wynikłaby z treści. Z przedmowy widać, że autorce zależało na poznaniu „twórczości zbiorowej, która była wykładnikiem psychiki powstającego narodu". Tymczasem ugrupowanie według tej metody kończy się na muzealnej wystawie rekwizytów poetyckich, będących dla „psychiki powstającego narodu" czemś zewnętrznem. Inna bowiem jest postawa psychiczna romansopisarza, inna powstańców i rewolucjonistów. Dibelius miał prawo użyć do swych celów metody, stosowanej do badań folklorystycznych. Powstanie Listopadowe było romantyczne, ale nie było romansem.

Bylibyśmy ciekawi dowiedzieć się z takiego studjum: 1) skąd poeci czerpali inspiracje rewolucyjne i powstańcze, 2) jaki był ich istotny stosunek do psychiki narodu, ale

przedewszystkiem: 3) jaką wyrażali myśl polityczną. Autorka mogła tej myśli w poezji listopadowej się nie doszukać — to inna sprawa; ale usiłowanie doszukania się tej myśli powinno być w pracy takiej uwidocznione. Tymczasem o wszystkiem tam mowa w dziale ideologji: o miłości ojczyzny i wolności, o rewolucjonizmie socjalnym, o religijności, mesjanizmie, ale najważniejszej idei, politycznej, autorka się nie doszukuje. Nie próbuje wyjaśnić z tekstu, jak się to stało, że poeci nie obejmowali wyobraźnią innych zaborów.

Gdyby poczucie rzeczywistości historycznej tej poezji wzięło u p. Znamirowskiej górę nad scholastycznem zagadnieniem metody, toby czuła potrzebę rozgraniczenia poezji warszawskiej od poezji krajów Zabranych. Były to dwie różne w psychice tego czynu zbrojnego sytuacje. W Warszawie była atmosfera wojny z Rosją przy pomocy regularnego wojska, w krajach Zabranych — było powstanie. Tutaj poeci przyśpiewywali wojsku według szablonów starych, z czasów Legjonów i Kościuszki, tam rodziła się do życia nowa polska prowincja, dotąd nieprzerobiona dostatecznie przez cywilizację polską, żądna polskiej państwowości. Tam szukano porozumienia z masami, grała rolę wielką intuicja. Dlatego w czasie przygotowań do powstania w dziesięcioleciu je poprzedzającem zrodziła się wielka poezja.

*

Piękny hołd w tysiąc pięćsetną rocznicę zgonu nieśmiertelnego biskupa Hippony złożył ks. dr. Stanisław Bross, ogłaszając wybrane przez siebie „Myśli św. Augustyna" (Poznań, nakładem księgarni św. Wojciecha). Mała to rozmiarami książeczka, zawierająca 389 króciutkich fragmentów o charakterze aforystycznym, podzielonych, według treści, na rozdziały: Bóg, Opatrzność Boża — Doswiadczenia, Pismo św., Człowiek, Dusza, Prawda, Rozum, Wolność, Świętość — Poświęcenie, Łaska — Cnoty, Modlitwa, Miłość, Sprawiedliwość, Miłosierdzie, Jałmużna, Bogactwo—Ubóstwo, Namiętność — Grzechy, Walka, Świat, Przyjaźń, Śmierć, Nieśmiertelność—Niebo. Ks. Bross starał się wybierać powyższe urywki raczej z drobniejszych, nie tłumaczonych na język polski prac wielkiego Świętego (*„Epistolae"*, *„Sermones"* i t.d.), aniżeli z łatwiej polskiemu czytelnikowi dostępnych, przełożonych w całości i dwukrotnie ostatnio po polsku wydanych „Wyznań" tudzież *„De civitate Dei"*.

„Myśli św. Augustyna" czyta się jak modlitwę. Jest coś oczyszczającego i krzepiącego równocześnie dla człowieka współczesnego w takiem zetknięciu się ze światem duchowym jednego z największych świętych i najgenjalniejszych myślicieli, jakich oglądały dzieje ludzkości. Dziś, po latach tysiącu pięciuset, nieugaszona żarliwość Doktora Łaski tak samo jasno oświetla jedyną drogę Prawdy i ratunku, jak wskazywała na nią podówczas w dobie olbrzymiego kryzysu cywilizacyjnego, kiedy świat starożytny uginał się i walił pod ciosami triumfującego naporu barbarzyńców.

*

Pożytecznej pracy dokonał Jerzy Karol Czerwiński, opracowując broszurę p. t. „Szkoły wyższe w Polsce, ustrój, organizacja studjów" (Warszawa, 1930). Na 38 stronicach zebrany został przezeń obfity, a zwięźle i z prawniczą precyzją podany materjał informacyjny o szkołach wyższych w Polsce, ich rodzajach, zadaniach, ustroju wewnętrznym, o uprawnieniach szkół akademickich w zakresie samorządu wewnętrznego, o studjach i stopniach naukowych, o opłatach, stypendjach, o stowarzyszeniach młodzieży akademickiej i jej naczelnej reprezentacji (Naczelny Komitet Akademicki) i t. d. Broszurę uzupełniają tablice statystyczne (za rok 1928/29), odnoszące się do liczby słuchaczów i profesorów w poszczególnych wyższych uczelniach, podziału słuchaczów według płci, wyznania, przynależności państwowej i rodzaju studjów, jak również tablice porównawcze, zestawiające odnośne dane statystyczne polskie, z takiemiż danemi, dotyczącemi innych państw cywilizowanych. Autor dochodzi do wniosku, że „liczba słuchaczów uniwersytetów polskich w stosunku do całej ludności państwa jest w porównaniu z innemi państwami znaczna, jeśli się zaś weźmie rzeczywiste zapotrzebowanie osób z wyższemi studjami, zbyt znaczna".

Broszura powyższa, ogłoszona nakładem Koła Prawników Stud. Uniw. Warsz., doczekała się w krótkim czasie drugiego wydania, które autor rozszerzył i uzupełnił. Powodzenie to wskazuje najlepiej, iż praca p. J.K. Czerwińskiego była potrzebna oraz że należycie spełnia swoje zadania.

*

Nakładem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie pojawiła się książka Juljusza Balickiego i Stanisława Maykowskiego: „Mówią wieki". (Czwarty rok nauki języka polskiego w szkołach średnich ogólno-kształcących. Lwów 1931 str. 493 + XXXIII. Klisz 199). Jest to ciąg dalszy znanych już podręczników Balickiego i Maykowskiego dla pierwszych trzech klas szkoły średniej. Całość obejmuje cztery cykle: I „Gdy żyli bogowie", II „Przez witraż gotycki", III „Pod młotami olbrzymów", IV „Putti wśród girland". Do książki dodano „Skarbczyk poezji", gdzie pomieszczono wyjątki i streszczenia z „Iljady" i „Odyssei" Homera, które stanowią lekturę podstawową klasy czwartej w myśl programu ministerjalnego.

Książka „Mówią Wieki" może być dobrem przygotowaniem ucznia do nauki literatury polskiej na stopniu najwyższym. Podręcznik ten pogłębi również wiadomości uczniów w zakresie kultury klasycznej i spełni jeden z postulatów dydaktyki języka polskiego, a mianowicie korelacji z nauką historji i języków klasycznych. Tego dotychczasowe podręczniki języka polskiego dla klasy czwartej nie dawały.

Książka pod względem typograficznym wydana wytwornie. Zdobią ją artystyczne winiety i przerywniki prof. Stanisława Matusiaka oraz liczne, dobrze wykonane reprodukcje fotograficzne.

Podręcznik winien się znaleźć w każdym zakładzie szkoły średniej; przeczyta książkę z zadowoleniem i korzyścią i starsze pokolenie.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Autor książeczki: *„Kurt et Grete (L'Allemagne 1929)"* p. Pierre Lafue przejeżdża z niemieckim baronem von Tr. przez polskie Pomorze. W pewnym momencie baron wskazuje francuzowi wioskę: „Posiadałem kiedyś owe włości... z całym żywym i martwym inwentarzem. Obecnie odstąpiłem je swym niemieckim dzierżawcom. Obejmę je dopiero wtedy, kiedy ta ziemia znów do nas należeć będzie, chcę powiedzieć, kiedy już nie będzie należeć do Polski. Doglądam jedynie od czasu do czasu mych pól i lasów, i jak dziś, witam je".

Autor dodaje: „Był on bardzo smutny, ale bez złości, i czuję to — w głębi pełen otuchy". Córka barona pozuje na socjalistkę, starszy syn pogodził się z obecną sytuacją Niemiec i opowiada zajmująco o różnicach, dzielących stare i młode Niemcy, o konfliktach pomiędzy dawnem a dzisiejszem pokoleniem. To „marzyciel". Najmłodszy syn należy do *Stahlhelm*'u, jest pełen animuszu „awanturniczego" i posiada *l'allure triomphante du jeune Siegfried.* On to właściwie uosabia nowe Niemcy, on też jest pupilem starego barona, który francuzowi spokojnie wyjaśnia „konieczności dziejowe Niemiec". „Co nas rzuci pewnego dnia na lud polski"—tłumaczy p. baron — „to sztuczność naszej wschodniej granicy... Jesteśmy przekonani, że prostując nasze granice wypełniamy nakaz natury, niektórzy powiedzą — Boga". Żyd dziennikarz w Heidelbergu jest podobnego zdania (Wtedy hitlerowcy jeszcze pogromu żydowskiego nie urządzili): „Naród złączony, Państwo scentralizowane, Cesarstwo skonsolidowane, wkrótce rozgrzeszone i umocnione pod berłem pruskiem, pełne nadziei, bogate w wszelkie zarodki rozrostu, które rzucił jego nowy Bismark pełnemi garściami"... Więcej nie dodaje. On żyd kpi z demokracji, która jest u steru, ale nie rządzi. Demokracja była potrzebna do zniesienia partykularyzmu. Tę rolę już spełniła, więc...

Możnaby mnożyć i mnożyć podobne cytaty, pełne akcentów i słów dobrze nam znanych. Pan baron nie potrzebuje zapewniać p. Lafue, że Niemcy jedynie w brutalności widzą instrument swego ocalenia. Biedna Belgja, Francja i Polska do dziś dnia noszą ślady owego „instrumentu". Ale nic nie szkodzi, że nam p. Lafue to przypomina.

Świat zbyt szybko zapomina masakry w Dinant (wymordowano 7 dzieci od 2 miesięcy do 2 lat, 10 uczniów i uczenic, 24 kobiet starszych, 10 starców ponad 65 lat (najstarszy 88 lat). W niepamięć poszedł mord 8 letniej dziewczynki w Marchienne, za to, że chciała jeńcowi francuskiemu dać kromkę chleba. „Muzykalne, pełne rytmu Niemcy" (słowa p. Lafue) rzucają się ze śpiewem na bezbronną ludność i dziatwę polską, wybijając takt na plecach i głowach żądnej polskiej nauki młodzieży. Tak, tak panie Lafue! Niemcy są muzykalne, posiadają rytm!

Słyszeliśmy bardzo streszczone zdanie pana barona i żyda śpiewnikarza. Posłuchajmy jeszcze robotnika z Gdańska: „Jon" (mówi p. Lafue) „zwiastował z zachwytem erę zaćmienia, gdyż instynkty ludzkie (czytaj niemieckie) sobie pofolgują. Pan przychodzi z Polski! To kraj zgubiony, albo raczej czy to kraj? Czy można powiedzieć jedna Polska, jak się mówi jedne Niemcy? Jestem tylko robotnikiem, panie! Ale widzi pan, co mnie najbardziej dotknęło w naszej klęsce, to nie że Francja nad nami może zapanować, ale to, że na naszym trupie, chce się rozwijać narody *„de rien"*. Te słowa robotnika budzą w panu Lafue wzniosłą refleksję „że ten robotnik niemiecki wścielał w sobie dumę swej rasy":

Nie dziwmy się p. Lafue. W pierwszej części swej książki rozpływa się autor na temat spokojnej i wysokie

kultury mieszczańskiego (żydowskiego) domu niemieckiego, wpada w zachwyt bez zastrzeżeń *à propos Festopiele* w Heidelbergu i Monachjum, i nie posiada się wprost z podziwu nad cudowną atmosferą naukową uniwersytetu w Heidelbergu. O profesorach niemieckich: „Wbrew naszym przesądom, im bardziej poznaję tych miłych ludzi, tem bardziej jestem przekonany o tem, że stanowią bezwzględnie prawdziwą elitę, powiedziałbym niemal prawdziwą arystokrację... Wyrażają się prawie zawsze z prostotą, jako *honnêtes gens* raczej niż jako pedagogowie. Powiedzieć by można, że są to światowcy, którzy prowadzą rozmowę salonową (mowa o wykładach uniwersyt.) z zaproszonymi, którym bynajmniej się nie starają imponować sztucznym autorytetem". Nie dziwimy się więc, że także sławne burszowskie „*Mensuren*" na „*Pankboden*" wyrywają p. Lafue okrzyk podziwu z racji rycerskiego ducha młodzieży akademickiej w Niemczech.

Książka wymierzona przeciw Polsce? Nie. Autor pragnie zwalczać „przesądy" francuskie o Niemczech, otworzyć im oczy na niejedno. Czy Pan Lafue wogóle pomyślał o Francji, śpiewając peamy na cześć tężyzny niemieckiej? Owszem, owszem! Autor pociesza się tem, że Niemcy się starzeją. Mamy przeczekać okres 50 lat starzenia się Niemiec, a Europa i Francja mogą być spokojne. Niemcy, zdaniem autora nie są, ani wojownicze, ani pacyfistyczne, będą one posłuszne jedynie „wypadkom". Trudno, Niemcy są jak „organizm fizyczny, którego rozwój skrępować się nie da". Choć autor tego otwarcie nie mówi i pragnie być tylko „obserwatorem", daje do zrozumienia, że Francja (i Europa) wtedy mogą być spokojne, jeśli nie będą przeszkadzać Niemcom w „naturalnym rozwoju" w „spełnieniu swych konieczności dziejowych".

*

Znany krytyk francuski, M. Boulenger, ogłosił ostatnio nader ciekawą książkę poświęconą słynnej za czasów drugiego cesarstwa żydówce, znanej wśród szerokiej publiczności pod nazwą „*la Païva*". „Pod tą nazwą także — powiada Boulenger — należało ją w 1870 r. rozstrzelać, gdyby ci, co wówczas rządzili, umieli rządzić!... Skąd się wzięła na bruku paryskim ta niezwykła istota? Urodziła się w Moskwie w 1819 r., ojcem jej był ubogi „handełes" Lachman. Od najmłodszych lat odznaczała się darem uwodzenia płci brzydkiej: pierwszą jej ofiarą był niejaki Antoni Villoing, krawiec pochodzenia francuskiego, którego wkrótce rzuca dla innych. Handlując przez parę lat w Paryżu własnem ciałem, po licznych przejściach (romans ze znanym muzykiem Henrykiem Herzem, poślubienie autentycznego margrabiego La Païva i t. p.) zostaje żoną magnata śląskiego, hrabiego Henckel Donnersmarck'a. Miljony męża umożliwiły awanturniczej kurtyzanie zajęcie wybitnego stanowiska w życiu towarzyskiem ówczesnego Paryża. Ambitna żydówica roiła o bywaniu w Tuilerjach, to się jej jednak nie udało, gromadziła natomiast w swoich salonach śmietankę ówczesnej inteligencji, literatów, artystów, polityków i t. p. Powiadają, że wyzyskiwała tego rodzaju stosunki na pożytek polityków berlińskich... Uprawiała, jak się wyraża Boulenger, „*l'espionnage de luxe*". Po wojnie 70 r. powróciła do swoich pałaców paryskich i marzyła o odegraniu wiekopomnej roli politycznej, mianowicie o pogodzeniu zwyciężonej Francji ze zwycięskiemi Niemcami. Podstarzała kokota w roli Egerji pokoju — to coś prawdziwie niezwykłego! Wiadomo, że „*la Païva*" układała widzenie się Gambetty z Bismarckiem, na co dyktator Francji miał się zgodzić, jednakże cofnął się w porę i do Warzinu nie pojechał. Nieudała się więc ta ostatnia kombinacja polityczna. Co gorsza, spostrzeżono nareszcie w Paryżu, że pruska hrabina i jej małżonek pracowali przez szereg lat, z amatorstwa oczywiście, dla ambasady niemieckiej, naskutek tego zaproponowano im wyniesienie się z Francji...

La Païva powróciła z mężem na Śląsk, gdzie umarła w 1884 r. O czternaście lat żyła dłużej, niż się jej należało, powinna była bowiem być rozstrzelaną w 1870 r.

ZMARLI

Ś. P. LUDWIK FINKEL

ZMARŁ we Lwowie długoletni profesor historji na uniwersytecie Jana Kazimierza, Ludwik Finkel. Od lat kilku był na emeryturze, ale przeżył swego następcę na katedrze, śp. Ptaśnika.

Śp. Ludwik Finkel, urodzony 20. III. 1858 w Bursztynie w Małopolsce, po ukończeniu gimnazjum w Tarnopolu był słuchaczem Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, gdzie był uczniem Ksawerego Liskego. Stał się kontynuatorem tradycyj Liskego jako nauczyciela, od kiedy objął katedrę historji na uniwersytecie lwowskim. Z pod ręki jego wyszła cała plejada historyków, przeważnie profesorów szkół wyższych w chwili dzisiejszej.

Z prac monograficznych, odznaczających się niezmierną precyzją dowodu i wykonania, na plan pierwszy wysuwa się obszerna monografja pt. „Elekcja Zygmunta I (sprawy dynastji jagiellońskiej i unji polsko-litewskiej)", wydana w roku 1910.

Największą pracą śp. Finkla była „Bibljografja historji Polski", którą postawił sobie prawdziwy pomnik, a nazwisko swe godnie zaszeregował obok nazwiska Karola Estreichera. Bibljografja ta, podjęta wspólnie ze śp. Henrykiem Sawczyńskim, przy pomocy Akademickiego Koła Historyków we Lwowie, objęła materjał źródłowy i literaturę naukową historyczną, dotyczące dziejów Polski od początku aż po rok 1815, zawierając dzieła opublikowane po rok 1910. Dodatek objął i wydawnictwa źródłowe opublikowane, po rok 1919.

Dzieło zupełnie już wyczerpane ma się ukazać w nowym wydaniu Tow. Historycznego, które w swoim czasie wybiło na cześć śp. Finkla medal z napisem: „Za bibljografję historji polskiej".

Ogłosił też wspólnie z prof. Starzyńskim historję uniwersytetu lwowskiego w r. 1912, w 250 — lecie istnienia tej uczelni.

Śp. Finkel odgrywał decydującą rolę w życiu Macierzy Polskiej we Lwowie. Jego staraniem jako 83 tom w wydawnictwie Macierzy ukazało się w r. 1909 bardzo pożyteczne dzieło zbiorowe „Polska obrazy i opisy" w 2 wielkich tomach. W tym roku jeszcze wyszła nakładem Macierzy Polskiej popularna książeczka Z. Krzemickiej o Powstaniu Listopadowem, do której przedmowę napisał śp. Finkel.

NOWE KSIĄŻKI

Gąsiorowski Wacław. 1910 — 1915. Historja Armji Polskiej we Francji. Warsz. 1931. Dom Książki Polskiej. Str. 402.

Makuszyński Kornel. Wiersze zebrane. Warsz. 1931. F. Hoesick. (Z portretem).

Kochanowicz Jan. Wstęp do nauki o teatrze. Warsz. (1930). Gebethner i Wolff. S. 199.

Miedzybłocki Jan. Zdolność konkurencyjna samochodu ciężarowego w stosunku do kolei żelaznej. Dysertacja doktorska (Uniw. Zuryski). Spolszczył inż. A. Brodzic-Lipiński. Wydała Brodzic-Lipińska. Przedmowa inż. A. Wasiutyńskiego (Bez miejsca i roku). S. 132.

Pigoń Stanisław. Do źródeł „Dziadów" kowieńsko-wileńskich. Wilno 1930. S. 127. Bibl. „Źródeł Mocy" nr. 3.

Zaniewicki Zbigniew. „*Oberschlesien*". Nie powieść. Warsz. (1930). Gebethner i Wolff.

Gliksman Jerzy. Struktura zawodowa i społeczna ludności żydowskiej w Polsce. Warsz. 1930. Instyt. badań spraw narod. Str. 56.

Orsini-Rosenberg Stan. Program badań socjologicznych w zakresie zagadnień narodowościowych w wojew. wschodnich Rzpltej Polskiej. Warsz. 1930. Tamże. Str. 62.

Młodożeniec Stan. Niedziela. Poezje. Warsz. 1930.

Baliński, Ewert i in. Teatry warszawskie. Sprawa rewizji gospodarki teatrów miejskich. Warsz. 1930. Str. 47.

ERRATA: W artykule Simplexa „Rewja" w nr. 43, z powodu bardzo nieczytelnego pisma autora, znalazło się wiele błędów. Ważniejsze z nich:

Str. 672, szp. 2 w. 22 zamiast „rumiane" powinno być „białe", wiersz niżej „żmijka" — zam. „żmijska".

S. 673, szp. 2 w. 5 i 6 przestawione wyrazy. Powinno być: „swoich prywatnych autorytetów. Ściśle biorąc"...

Niżej w. 20 zam. „chamaka" powinno być „marszałka". Niżej w. 40 pow. być „przeciwpaństwowego" zam. „przeciwnarodowego".

Na str. 674, szp 1 w. 20 pow. być „rokosz" (nie „robota"), 4 wiersze niżej: „filozofijkę" (nie „historyjkę"), 2. w. od dołu „czupryną" (zam. „pokrywą"), wyżej 13 w. od dołu „cynizmu" zam. „gniewu".

Na s. 675 rozdzialik XX ma być taki: „Żydki sanacyjne należą do sanacji racjonalnej. Poza tem działać tu muszą rzewne tradycje pachciarskie". Potem rozdz. XXI i dalej zmieniona numeracja. W tejże szpalcie w 1 od dołu powinno być: „pladze" (nie „płaczu"), a wyżej w 11 „zasadzie" (nie „początku").

Z ATMOSFERY PRZEDPOWSTANIOWEJ

Z „Pamiętników z 1830—31 roku“ J. U. Niemcewicza (Wyd. Akademji Umiejętności, Kraków 1909) przytaczamy poniżej szereg ustępów, szczególnie dziś, ze względu na setną rocznicę, aktualnych:

„...Opłakany minister wychowania, z wlepionemi oczyma w oblicze W. kniazia, z żebrzącą postacią oczekuje jałmużny łaskawego spojrzenia i nie zawodzi się: tyle podłości, tyle pochlebstw, tyle fałszów już go, jak jemu podobnych uczyniły ulubionym. Nadto u Pana tego dosyć jest być od wszystkich wzgardzonym, żeby być protegowanym...“ (str. 3).

*

„Pomyśli kto, czemu minister nie poszedł czynić przełożeń W. kniaziu, że kraj ma sądy... Nie powinien że był minister, co mówię, Rada cała ministrów uczynić tych przełożeń W. kniaziu, a nawet donieść o tym gwałcie praw naszych monarsze? Nie znalazł się i jeden; każdy rad, że dobrze płatny, obecne używanie błogiego stanu swego nad niebezpieczne narażanie się przenosi“ (str. 6)

*

„Oprócz jednego Carogrodu nigdzie na świecie podobnych czynów arbitralności widywać nie można. I to spokojnie zniesiono i względem tego nikt przełożenia najmniejszego uczynić nie ważył się..., bo któż doniesie, gdy wszystkie listy odpieczętowują, a donoszący prawdę zażarcie ścigani“ (str. 7)

*

„Do tego przyszliśmy stopnia samolubstwa i obojętności względem wzgwałceń najświętszych praw naszych, iż codziennie wyrządzane nad nami zniewagi mało kogo, i to z nic nie znaczących chyba, obchodzą“ (str. 7)

*

„Od dawna zamierzoną myśl uczynienia z Brześcia Litewskiego obronnej twierdzy, Cezar dzisiejszy do skutku chce przyprowadzić; ani się temu dziwić: położenie miasta tego między Muchawcem i Bugiem jest nader ważnem... W tym celu już trzoda mniemanych inżynierów do Brześcia przybyła... cegła na baszty obrócona została... a tak goście nasi zdają się na wieki w kraju polskim utwierdzać, jeśli im tylko opatrzność i niezatrzymany bieg dążności politycznych prędzej czy później nie połamie szyków“. (str. 12)

*

„Lecz cóż pomogą twierdze, kiedy całe ogromne mocarstwo moskiewskie stoi bez podstawy, kiedy, mówię, nie ma zasad, nie ma stałych instytucyj, kiedy wszystko spoczywa na woli i słowie jednego śmiertelnego człowieka! Widzieliśmy tego niedawny przykład, gdy ostatniej jesieni cesarz Mikołaj niebezpiecznie zapadł na zdrowiu. Co za trwoga i pomieszanie w Petersburgu! Dlaczegoż? Bo wszystko w niepewności, niema praw kardynalnych, niema dwóch izb ciała prawodawczego, bo wszystko wtenczas na jednym czynie najśmielszego“. (str. 12)

*

„Możnaż nazywać niezgodą, że kto zdanie oświadczy różne od woli panującego, że kto na przez wiele lat wyrządzone uciski żali się? Pocóż zwoływać sejm, jeśli nie dlatego, żeby wiedzieć od reprezentantów, co zbawiennem, co szkodliwem dla siebie znajdują? Jeśli to niema być wolno, lepiej nie łudzić, znieść ustawę, a same tylko ukazy zostawić“. (str. 16)

*

„Dn. 3 maja. Wspomnienie konstytucji dnia tego powiększyło trwogi: niech dwóch studentów lub innych mówiło razem, zaraz rozpędzono... student jeden patrzał w zamku na zmianę warty, porwany, wtrącony pod odwach; prędko jednak wypuszczonym został“ (str. 17).

*

„... W. książe niespokojny zapytał: „Cóż jest ta konstytucja?... pierwszą waszą powinnością posłuszeństwo, posłuszeństwo i jeszcze raz posłuszeństwo“. „Tak jest, odparł Ostrowski, posłuszeństwo prawu, ale inaczej posłuszeństwo jest podłością“ (str. 28 — 29)

*

„...Odparł najfałszywszy z ludzi (W. książe Konstanty). „...nie wiem, co z listem moim zrobił, zapewne d... nim podtarł sobie“. Te były wyrazy godne Książęcia“ (str. 29).

*

„Dnia 29 listopada o godz. 7 i pół wybuchnęła niespodziana rewolucja“... (str. 44)

NA MARGINESIE

W świecie politycznym Europy, przyjaznym dla Polski, trwoga ogarnia ludzi na myśl, co grozi Polsce ze strony żądnych zaboru Niemiec. Telegram z Paryża „Kur. Warsz“. z 25 października opiewa:

„We Francji nadchodzące z Niemiec głosy poważnie zaalarmowały opinję. Na wiecu w sali Wagram kilka tysięcy byłych kombatantów uchwaliło gwałtowną rezolucję, domagającą się od francuskiej polityki zagranicznej zmiany kierunku. W dzisiejszej „*Ere Nouvelle*“ Painlevé, a w tygodniku „*La Nation*“ Ludwik Marin domagają się energicznej obrony granicy francuskiej wobec jawnego niebezpieczeństwa niemieckiego.

W tymże organie Marina, major Sorb, znany ze swoich rewelacyj o tajnych zbrojeniach Niemiec, kreśli dokładny plan ataku na granice Polski, którego wykonanie ułatwić mają: neutralność Anglji i wystąpienia Włoch przeciwko Francji, co ostatecznie przeszkodzi tej ostatniej pójść na pomoc Polsce, nie mówiąc o możliwości innych przeszkód, jak powstanie wybuchów wewnętrznych.

Rewizjonizm niemiecki, który opanował całe społeczeństwo jednocześnie, zaniepokoił całą Francję, która w trosce swej o pokój myśli w jednakowym stopniu o bezpieczeństwie granic Polski“.

Rzecz dziwna — nieprawda? — że w Polsce tej chmury nawet obserwatorjum polityczne nie widzi. Nic się o tem nie wie, nikt o tem nie mówi. Czyżby minister Zaleski będący, jak wiadomo, doradcą politycznym premjera, nie informował kogo należy o niebezpieczeństwie? A może to wszystko wymysły francuskich burżujów? Chyba tak, bo inaczej p. Miedziński napewno zapytałby przy pierwszym wywiadzie o to, co się robi w Polsce w celu zabezpieczenia jej od nieszczęścia. Oczywiście wiele jest spraw ważniejszych i pilniejszych (choćby niebezpieczeństwo ze strony stronnictw narodowych i kontroli), ale i ta sprawa powinna zwrócić na siebie uwagę.

*

Jakiś bardzo waleczny, ale nierozsądny publicysta polemizuje w „Gazecie Polskiej“ z autorem „Na widowni“ (nr. 42) Z. Wasilewskim w ten sposób: on i narodowi demokraci wogóle „propagowali... zwyczajne (?) ugięcie karku pod jarzmo obce“, „nie brali pod uwagę polskiego dążenia do wolności“. „wierzyli tylko w karjery petersburskie“. Opowiada o „nienawiści endeckiej do szkoły polskiej“, bo dla endeków „Polakiem może być tylko ten, kto dostał na to patent zaborców“. Tak dziś w Polsce nauczają aktywiści.

W ładnem towarzystwie musiał się wychować taki rycerz pióra, który tylko nikczemnością tłumaczyć umie stanowisko przeciwnika politycznego i nawet nie zawaha się odmawiać przodującym pisarzom narodowym patrjotyzmu. Musi to być jednak nielada głowacz, skoro na pomnik Sienkiewicza patrzy zgóry: „Genjalny Sienkiewicz — dosłownie — był człowiekiem bardzo politycznie naiwnym i wcale a wcale z politycznie myślącą częścią społeczeństwa niezżytym“. Zupełnie to nowy pogląd na autora „Krzyżaków“, „Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela“, listu w sprawie dzieci wrzesińskich. Dotąd podziwialiśmy w Sienkiewiczu zmysł polityczny, zgoła wyjątkowy u beletrystów. Sienkiewicz nie był „wcale a wcale“ zżyty z oświeconą sferą społeczeństwa polskiego! Naiwny był! Oczywiście nie można porównywać rozumu Sienkiewicza z rozumem politycznym Sieroszewskiego, który jest „zżyty“. Ale przecież trzeba mieć trochę pobłażania...

*

Finansiści krytykują poglądy rachunkowe „sanacji“, nie uznającej ułamków miljona; utrzymują, że w taki sposób można sobie w trzechmiljardowym budżecie wykroić paręset miljonów „luzów“. Finansiści bowiem nie uznają tradycyj romantycznych. Mickiewicz przecież także nie bawił się w ułamki, kiedy mówił:

„Nazywam się Miljon, bo za miljony kocham“...

Powiadają, że kraj jest biedny, wyniszczony podatkami. „Sanacja“ napewno mu współczuje i cierpi, ale prawa „luzów“ są nieubłagane. Mickiewicz również „cierpiał katusze“:

„Patrzę na ojczyznę biedną,
Jak syn na ojca wplecionego w koło,
Czuję całego cierpienia narodu,
Jak matka czuje w łonie bóle swego płodu,
Cierpię, szaleję“...

Ojczyzna zawsze była biedna — i do tego przywykła. Nie trzeba powiększać cierpień wielkim duchom ciągłem przypominaniem ojczyzny.

*

Jest Brześć nad Bugiem, ale godziłoby się pamiętać, że jest Bóg nad Brześciem.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.